

Chrześcijańskie Czasopismo dla Kobiet

ISSN 2388-7161

Samarytanka

nr 110 (2/2015)

Lato-Jesień

Gdy umiera
nam dziecko str. 8

O relacji
z teściową str. 20

Relacja
z Ukrainy str. 33

W numerze:

- 1** **Żałoba**
Kilka medycznych a także biblijnych podpowiedzi jak uporać się ze stratą bliskiej osoby.
- 5** **Tęsknota**
O uczuciach po śmierci matki.
- 6** **Śmierć bliskiej osoby**
Przeżycia matki po utracie ukochanego syna.
- 8** **Gdy umiera nam dziecko**
O tym co dzieje się z dziećmi, gdy umierają.
- 10** **Bóg reżyserem mojego życia**
Historia z życia matki pięciorga dzieci, która straciła córkę i męża.
- 14** **Dziedzictwo**
Matka ośmiorga dzieci opisuje wzruszającą historię swojego życia.
- 16** **Przeżyć śmierć swojego męża**
O wielkiej przemianie w osobistym życiu wdowy.
- 18** **O Bożej wierności**
O dialogu z Bogiem rodziny modlącej się o uratowanie życia Pastora, który uległ poważnemu wypadkowi.
- 20** **O relacji z teściową**
O pokonywaniu trudności związanych z opieką nad chorą matką.
- 24** **Moje zwycięstwo w Chrystusie**
Historia wierzącej kobiety, która dowiedziała się, że ma nowotwór krwi.
- 27** **Świadectwo uzdrowienia**
O cudownym uzdrowieniu kobiety z guza na jajniku.
- 28** **Immuś**
O opiece i wierze babci opiekującej się niepełnosprawnym wnukiem.
- 30** **Misja w Ugandzie**
O tym, jak Bóg uzdalnia gotowe serce do zwiastowania Ewangelii pomimo bariery językowej
- 33** **Witam Was, drodzy bracia i siostry w Panu!**
List pastora zboru opisującego sytuację w Donbasie na Ukrainie
- 35** **Panie, dlaczego wciąż trzeba się zmuszać...**
dialog chrześcijanina z Bogiem napisany wierszem
- 38** **Pan moją nadzieją**
O szukaniu bliskości z Bogiem
- 40** **Krynica mojego życia**
O źródle pociechy matki w tragicznych momentach życia półrocznego Pawełka
- 42** **Nie miałam wiele szczęścia**
świadcstwo
- 44** **Wspaniałość Bożego stworzenia**
Zachęta do oddawania chwały Bogu, który tak pięknie stworzył świat.
- 45** **Nasze wspólne czterdzieści lat**
O wysiłku obojga małżonków w scalaniu swojego małżeństwa.
- 48** **Przepis**
Adzika

Spotkania

Terminy spotkań z Czytelniczkami „Samarytanki” są dostępne na stronie www.chmk.kz.pl. Zapraszamy.



Żałoba

czyli jak uporać się ze stratą

Utrata bliskiej osoby jest najtrudniejszym momentem życia. Ból przyćmiewa często wszystkie inne doznania i ani najbliższa rodzina, ani przyjaciele nie są pocieszeniem. Dla wielu śmierć partnera jest tak trudna, że symbolicznie staje się ich własną śmiercią – zamykają się na świat, uważają, że nic ich już w życiu nie czeka, czują się zdruzgotani. Taka sytuacja może trwać latami. Wówczas żałoba przeradza się w stan, z którego coraz trudniej się wydobyć. W takich przypadkach czas nie leczy ran, a żal i tęsknota są wciąż tak żywe, jakby tragedia wydarzyła się niedawno.

Często też tłumiona „nieprzepracowana” żałoba dochodzi do głosu w irracjonalnych wybuchach złości czy nagłych, pozornie bezpodstawnych, stanach depresyjnych. Niektórym osobom towarzyszą zagubienie i niemożność ułożenia sobie życia na nowo, a bierność i bezradność czasem wręcz zmuszają otoczenie do przejęcia opieki nad nieszczęśliwym, pogrążonym w żałobie człowiekiem.

Lekarze dzielą przebieg żałoby na trzy naturalne etapy, które musi przejść każdy, kto jej doświadcza. Długość ich trwania to kwestia indywidualna, dlatego nigdy nie



wiadomo, ile potrzeba czasu, by pogodzić się ze śmiercią ukochanej osoby lub przejść z jednego etapu żałoby do następnego.

Etap pierwszy to chwile tuż po śmierci bliskiego człowieka, zdominowane przez lęk, gniew i uczucie rozpaczy. Wielu osobom rozpada się cały świat, nie mogą uwierzyć w to, co się stało, mogą wpaść w gniew, histerię lub odętwienie. To może być także moment, kiedy nie czuje się zupełnie nic. Jest to stan spowodowany szokiem, często towarzyszą mu wyrzuty sumienia.

Etap drugi zdominowany jest przez tęsknotę i uczucie, że świat jest niekompletny. Osoba pogrążona w żałobie nie może znaleźć sobie miejsca, wierzy, że bliski jej człowiek wyszedł tylko na chwilę, że za moment wróci i wszystko będzie jak dawniej. To także czas, gdy snuje się wspomnienia, układa na nowo przedmioty je przywołujące, kiedy żałobnik zamyka się w sobie, pochłonięty rozpamiętywaniem przeszłości. Ten etap może trwać latami i nigdy nie minąć, a osoba znajdująca się na tym etapie może stać się drażliwa, wybuchać płaczem lub złością. Może też formułować oskarżenia wobec tych, którzy dawniej mieli kontakt ze zmarłym i w jakiś sposób wpływali na jego życie.

Etap trzeci to czas, kiedy pogrążona w żałobie osoba godzi się ze stratą i pozwala, by czas koił ból. Na tym etapie zaczyna podejmować racjonalne decyzje, przestaje unikać nowych kontaktów, nie boi się nowych związków. Wspomnienia, wcześniej wywołujące płacz lub wybuchy rozpaczy, stają się ciepłe i serdeczne i nawet jeśli są podszyte smutkiem, pozwalają prowadzić normalne życie.

Oto przykład... *Po śmierci męża długo nie mogłam dojść do siebie. Myślałam, że świat się skończył. Brakowało mi męża, a zamiast przeżywać żałobę, musiałam zająć się dziećmi, kredytem, zamykaniem wspólnych spraw, rozwiązywać problemy finansowe. To był trudny okres w moim życiu. Dziś wszystko wygląda inaczej. Wciąż tęsknię za mężem, ale też znów zaczęłam żyć, być może nawet lepiej i pełniej niż do tej pory. Gdy uda mi się coś nowego, uśmiecham się do siebie i wyobrażam sobie, że mąż byłby ze mnie dumny.*

Żałoba staje się groźna wtedy, gdy trwa zbyt długo. Przeciągająca się latami, przeradza się w depresję. Wpływa też na obniżenie odporności organizmu, który przestaje sobie radzić z innymi schorzeniami. W takiej sytuacji chory często nie ma motywacji do leczenia, a sama choroba staje się dla niego formą ucieczki od rzeczywistości, możliwością uzewnętrznienia psychicznego cierpienia.

Przytoczony wcześniej przykład pokazuje postawę oraz możliwości współcześnie żyjących wdów, ale nie zawsze tak wyglądało ich życie.

Kiedy w Izraelu kobiecie umarł mąż, traciła nadzieję na bezpieczną przyszłość. Podobnie jak bezdomni i obcy pozostawała bez środków do życia i bez praw w społeczeństwie. Była całkowicie zdana na łaskę innych. Skutkiem tego wiele wdów musiało uciekać się nawet do prostytucji.

Jeżeli mąż nie pozostawił po sobie dzieci, jego dziedzictwo przypadło zgodnie z żydowskim prawem jego bratu albo innemu krewnemu. Bezdzienna wdowa wracała zwykle do swoich rodziców albo zostawała poślubiona bratu męża. To obowiązkowe prawo, tzw. lewirat, miało na celu zapewnienie mężczyźnie potomka, a nie pomoc wdowie w jej materialnych i emocjonalnych potrzebach.

Mimo iż Bóg dał swemu ludowi prawa dotyczące wdów, żyły one w rzeczywistości tylko dzięki łasce jakichś dobroczyńców. Wdowie wolno było zbierać kłosa pozostałe na polu po żniwiarzach i owoce z drzew po zbiorze. Również część dziesięciny ofiarowanej Bogu przez lud stanowiła dla nich pewne wsparcie.

Byli jednak w Izraelu ludzie, którzy całkowicie ignorowali te prawa i bogacili się kosztem wdów. Niektórzy powiększali obszar swojego pola przez przesuwanie kamieni granicznych na niekorzyść owdowiałych kobiet. Mimo iż Pan wiele razy ostrzegał przed takim postępowaniem, zdarzało się to dość często. Nawet duchowi przywódcy zawodzili w dawaniu dobrego przykładu. Zamiast żyć zgodnie z Bożymi przykazaniami i nauczać tego innych, wykorzystywali wdowy.

Zwiedzione pozorną pobożnością faryzeuszy wdowy posłusznie poświęcały się dla nich. Przywódcy duchowi, którzy chlubili się znajomością Zakonu w najdrobniejszych szczegółach, gorzko zawodzili w codziennej praktyce. Faryzeusze celowo trzymali wdowy w nieświadomości. Woleli zapomnieć o tych słowach Pisma, które dotyczą ochrony wdów, niż zaznajamiać z nimi kobiety w potrzebie.

Jezus jest zupełnie inny. W Jego oczach kobieta jest w pełni godna wszystkich praw, jakie daje jej Pismo. Chrystus uważa, że te prawa dotyczą także kobiet niezamężnych i wdów.

Jezus znał samotność wdowy. Rozumiał smutek kobiety, która po śmierci męża zauważa, jak gwałtownie zmniejsza się krąg jej przyjaciół. Odwiedzać mogą ją tylko kobiety. Ta, która sądziła, że jest poważana dla niej samej, często odkrywa, że była poważana jedynie ze względu na swojego męża.

Wdowy wciąż boleśnie odczuwają ten brak szacunku.

Spójrzmy na historię wdowy z Sarepty opisaną w Starym Testamencie.

Sarepta była małym miasteczkiem, położonym na wybrzeżu Morza Śródziemnego, gdzieś między Tyrem a Sydonem, o którym czytamy tylko dlatego, że prorok Eliaszkrywał się tam przez ponad 3 lata.

Wdowa była Fenicjanką. Społeczeństwo, w którym żyła, traktowało owdowiałe kobiety jak obywateli drugiej kategorii. Nie troszczono się o nie, jak to miało miejsce w sąsiednim Izraelu. Zostawiano je na pastwę losu. Była mężatką, matką jedynaka. Pewnego dnia jej mąż jak zwykle wyszedł do pracy w tartaku. Pocałował ją na pożegnanie i uścisnął swojego syna. Późnym popołudniem do jej drzwi zapukał jego szef. Zdarzyło się to po raz pierwszy, dlatego wzbudziło to w niej zdziwienie. Poczuli ukłucie niepokoju. – Usiądź – powiedział. – Z przykrością zawiadamiam cię, że twój mąż zginął w nieszczęśliwym wypadku. Jedną z kłód, przy których pracował, zeslizgnęła się, przygniotła go i zabiła na miejscu. Przykro mi.

Kobieta była w szoku. To stało się tak nagle. Następne kilka dni spowijała gęsta mgła. W jednej chwili stała się człowiekiem drugiej kategorii. Mąż nie zostawił jej emerytury, nie miała ubezpieczenia ani polisy na życie, o którą my zapewne zadbał (jeśli nie, to zachęcam). Zostawił im tylko skromny dom i mały kawałek ziemi. Od tej chwili ona musiała sama zadbać o ich utrzymanie. Jakby tego było mało, kraj dotknęła klęska głodu. Od dawna nie padały deszcze, nie było wody, a co za tym idzie – płodów ziemi. Jej ogród zmarniał, oliwka uschła, a figowce przestały rodić owoce. Musiała sprzedać

swoje dwie kozy, ponieważ nie miała czym ich wykarmić. W szybkim tempie pogrążyła się w ubóstwie. Powoli zaczęli głodować. Nie mogła patrzeć na zapadnięte oczy syna.

Znamy tę historię, w której Bóg poprzez proroka rozwiązuje jej problem: pomnaża resztkę oliwy i mąki, dzięki czemu mają środki do życia oraz ratuje życie jej ukochanego syna. Doświadcza ona – tak samo jak niegdyś Izrael na pustyni – że sam Bóg troszczy się o nią, aby każdego dnia miała dość jedzenia. Ale codziennie pozostaje wyzwaniem dla jej wiary. Otrzymuje pożywienie tylko na jeden posiłek i nie może robić zapasów i na tym budować. Jej zaufanie musi się wspierać jedynie na Bożej obietnicy. Każdy dzień wymaga ślepej, czynnej wiary w słowo, które zostało powiedziane. Codziennie przeżywa cud. Codziennie jest jedzenie dla nich trojga... I tak przez wiele dni.

**Jej wiara niesamowicie wzrosła,
ponieważ uwierzyła prorokowi, jego słowu,
które było Słowem Bożym. To kolejne przeżycie,
głębokie cierpienie miało wzbudzić w niej jeszcze
silniejszą wiarę. To Bóg testuje nas,
jak jest ona silna, dlatego dopuszcza do utrapień.
Tylko wiara, która przebyła
ogniową próbę cierpienia, jest prawdziwa.**

Podczas bolesnego okresu historii swego ludu Bóg zachowuje życie proroka przy pomocy poganki, wdowy, która przyjęła wezwanie, by uwierzyć w Słowo Boże. Ta wiara ma tak wielką wartość, że wiele wieków później mówi o niej Pan Jezus i przez to na zawsze pozostała w pamięci. Ta kobieta doświadczyła, że Bóg wysoko wynagradza wiarę. Wiara stała się dla niej rzeczywistością, prawdą i ufnością. I ona wytrzymała tę próbę.

Zachęcam do przeczytania kolejnych świadectw kobiet, których wiara została zahartowana w ogniu doświadczeń, ponieważ zrozumiały, że bez Boga przez niego nie przejdą. Życie nie jest sielanką, a raczej walką o przetrwanie. Ale nie jesteśmy w tym same, mamy Pana, który może i chce nas zwycięsko przezeń przeprowadzić. Niech zamieszczone w tym numerze świadectwa będą podpowiedzią i inspiracją do zajęcia właściwej postawy w trudnych okolicznościach życia, które wcześniej czy później nadejdą.

PRENUMERATA 2016 - cena 16,50

Na prośbę setek Kobiet zdecydowałam się na wydanie dwóch kolejnych numerów Samarytanki i Punktu Zwrotnego. Zwracam się z gorącą prośbą o przysyłanie świadectw i dokonywanie przedpłat do końca listopada 2015 r.

Tęsknota

Odeszła cicho, prawie nagle, zaskakująco.

Moja Mamusia.

Kiedy piszę te słowa, mam w oczach łzy, bo była mi tak droga i bliska. Co prawda nie we wszystkim się zgadzałyśmy, zwłaszcza w sprawach domowych, ale łączyła nas głęboka przyjaźń, wspólna modlitwa i przemyślenia duchowe.

Była i jest Bożym dzieckiem, tylko że teraz jest u Boga w niebie. Do kościoła nie chodziła tylko dla tradycji czy z nawyku. Ona po prostu chciała zawsze słuchać, co Bóg ma Jej do powiedzenia, w niedzielę i w tygodniu.

Jej marzeniem było, aby jak najwięcej ludzi pojednało się z Bogiem i starała się to realizować. Często przy tym mówiła, że życie jest takie krótkie.

Kiedy przebywała w szpitalu, jej stan był bardzo ciężki. Pomimo tego ogarniał mnie Boży pokój. Dla mnie samej było to zaskoczeniem, a jednocześnie potwierdzeniem tego, jak wiele daje wiara w Boga i w Jego kierownictwo.

Pogrzeb... Gdy szłam za trumną, nie płakałam. Odchodziła z tego świata nie jako pokonana przez chorobę, ale jako zwycięzca w życiu. To, czego ona nie zdołała przekazać bliskim i znajomym, zostało dopowiedziane przez księży.

Jest mi ciężko. Czuję smutek i żal. Brakuje mi bliskiej osoby. Bóg jednak pociesza mnie przez świecące słońce i budzącą się do życia przyrodę. On jest blisko tych, których serce jest złamane.

Moja Mamusia jest już wyzwolona z trosk naszego życia i może doświadczać pokoju, który przewyższa wszelki rozum. Zazdroszczę jej, a potem przepraszam Boga, że tak mało we mnie wdzięczności za to, co mi daje na co dzień. Jednak tęsknię często za naszym Panem i pragnę wyzwolenia od wielu problemów. A czego oko nie widziało i ucho nie słyszało, to przygotował Pan tym, którzy Go miłują.

Panie, proszę, daj mi więcej Twojej miłości, abym bardziej kochała i wytrwała w Tobie do końca moich dni. Jak ona...

Śmierć bliskiej osoby

Oglądanie umierania najbliższej osoby jest trudnym, dramatycznym przeżyciem. Spójrzmy na Marię, matkę Pana Jezusa. Nie opuściła Go aż do śmierci. Stała pod krzyżem, na którym, jak przestępca, umierał jej Syn. Miecz z całą siłą przebił jej duszę, co było zapowiedziane. Tutaj nie tylko Syn opróżnia do ostatniej kropli kielich goryczy. Także i ból Marii dochodzi do granic wytrzymałości.

Ona nie schodzi z drogi cierpienia. Nie jest jej łatwo, ale do końca pozostaje przy Nim. Widzi smutek Jego duszy, słyszy, jak z Niego drwią. Ona wytrzymuje, bo jej serce oddało się całkowicie do dyspozycji Boga. Jej uczucia i cierpienie mają dla niej znaczenie drugorzędne. Jezus ją zauważa i nie zapomina przed śmiercią zatroszczyć się o nią: *Niewiasto, oto syn twój*. I zaraz potem Jezus mówi do Jana, którego tu, na ziemi, najbardziej umiłował: *Oto matka twoja*. Odtąd Maria zamieszka w domu Jana.

Życie sprawiło, że bardzo dojrzała. W ciągu minionych 30 lat przeżyła niesamowite wzloty i upadki, poznała radości i cierpienia, których nigdy nie zazna żadna inna kobieta. Ale w tym wszystkim zachowała niezmienną postawę wobec Boga. To, co wypowiedziały jej usta przy zwiastowaniu Mesjasza, urzeczywistniła w działaniu: *Otom ja, służebnica Pańska. Niech mi się stanie według Słowa Twego*.

Problem śmierci bliskiej osoby, spojrzenie na to, jak trudne przeżycia ta śmierć przynosi, przybliży świadectwo siostry Marty Suchodolskiej, która straciła syna w wypadku drogowym.

„To stało się tak nagle...”

Był piękny, słoneczny, lipcowy dzień. Wszystko wydawało się takie jasne, radosne. I nagle jak grom z jasnego nieba spadła na mnie straszna wiadomość: mój ukochany syn Boguś nie żyje. Z relacji moich najbliższych dowiedziałam się, że około 10-tej doszło do tragicznego wypadku drogowego, w wyniku którego Boguś doznał ciężkich obrażeń ciała i nastąpiła śmierć. Boguś odszedł na zawsze z naszego ziemskiego padołu i stanął u bram Niebios. Wierzę, że jego dusza odpoczywa już w Niebiańskiej Ojczyźnie u stóp naszego ukochanego Zbawiciela, Jezusa Chrystusa.

A ja? To, co teraz czuje i przeżywa moje serce, trudno wyrazić słowami. To rozstanie nastąpiło tak nagle! Żal, ból i morze łez... Tylko nadzieja, że kiedyś spotkamy się u naszego Niebiańskiego Ojca pomaga mi żyć dalej.

Śmiertelny wypadek wydarzył się 25 lipca 2014 r., a 30 lipca odbył się pogrzeb. Gdy stałam w tym dniu przy otwartej trumnie mojego syna, ostatni raz tu na ziemi patrzyłam w jego ukochaną twarz, której nigdy nie zapomnę – rozumiałam, że mogłabym tak stać nieskończenie długo, przytulona do jego nieruchomego ciała. Jednak nadszedł czas zamknięcia trumny i przewiezienia jej do naszej kaplicy „Betel” w Ustroniu, gdzie odbyło się nabożeństwo pożegnalne. Następnie, już na cmentarzu komunalnym, po słowie wygłoszonym przez braci i wystąpieniu chóru, trumna z ciałem ukochanego syna spoczęła w mogile.

Zawsze myślałam, że nasza bliskość będzie trwała długo, aż do końca mojej pielgrzymki po tej ziemi. Ale stało się inaczej: to syn wyprzedził mnie, odchodząc do wieczności, do Ojca w Niebie. Zaczęłam wspominać, jak Boguś był małym chłopczykiem, potem, gdy dorastał. Pan Bóg obdarzył go niezwykłą urodą oraz bardzo dobrym, szlachetnym sercem. Był wspaniałym synem, bratem, a później mężem i ojcem dwóch synów.

Syn został pochowany i nastąpiła codzienność. Ale w tej codzienności Pan Jezus już od samego rana, a także w ciągu dnia, przemawia do mojego zbolałego serca słowami: Nie płacz, nie smuć się. Jestem zawsze z Tobą.

Nazajutrz po pogrzebie obudziłam się z sercem pełnym smutku i z ogromną tęsknotą. Ten smutek i tęsknota trwały przez długie kolejne dni. Często zadawałam sobie pytanie, jak teraz mam żyć dalej. Z Bożą pomocą wychowałam dwoje kochanych dzieci – córkę i syna – a teraz w moim sędziwym wieku pozostała mi tylko córka.

Któregoś dnia, gdy siedziałam zadumana w mojej samotności, usłyszałam cichy, delikatny głos skierowany wprost do mojego utrapionego serca. Bez wątpienia był to głos mojego kochanego Stwórcy w Niebie. Jego słowa brzmiały: Zabrałem twojego syna Bogusia do Niebiańskiego Domu. Na tym ziemskim padole nie musi się już o nic troszczyć. W Ojcowskim Domu otrzymał wszystko, ale przede wszystkim życie wieczne przy moim boku.

Kochany mój Zbawiciel przemówił do mnie jeszcze słowami: Syna już nie masz, ale pozostała ci jeszcze córka. Obdarowałem ją szlachetnym, miłującym sercem. Będzie ci pomagała.

Mijały kolejne dni, w moim życiu nic szczególnie się nie zmieniło. W dalszym ciągu głęboki smutek gościł w moim sercu. W nocy, w dniu moich urodzin, tj. 15 sierpnia 2014 r., obudziłam się i słyszałam bardzo wyraźnie słowa, które natychmiast przeniosłam na papier, gdyż nie miałam wątpiwości, że słyszałam po raz kolejny głos Drogiego Zbawiciela, Pana Jezusa Chrystusa, który znowu przemówił do mojego strapionego bólem i rozpaczą po stracie ukochanego syna Bogusia serca: Synu mój, dosyć już twojej troski na tej ziemi. Zabrałem cię do Ojca w Niebie, odpoczywaj przy moim boku. Te słowa skierowane były do Bogusia, ale to ja usłyszałam je w moim sercu.

Po tych cudownych słowach, przepełnionych miłością w stosunku do mnie – matki – długo nie mogłam zasnąć.

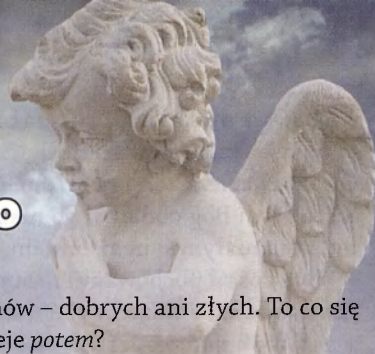
Zrozumiałam, że na tym padole leż nic nie dzieje się bez woli Niebiańskiego Ojca. Wiem już teraz, że Jego staraniem jest przywrócić mi radość życia aż do dnia, kiedy i mnie zawoła do wieczności, do cudownego życia u stóp Pana Jezusa.

Tam w Niebie spotkam kochanego syna Bogusia, z którym przeżyłam szczęśliwie nieco ponad pół wieku, 51 lat. Może wydaje się, że to zbyt krótko, ale taka była wola Pana.

Pan przemówił do mnie jeszcze raz za kilka dni, tj. 19 sierpnia. Gdy się obudziłam, w moim sercu brzmiały cudowne słowa z Psalmu 23,4: *Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulęknę, boś Ty ze mną. Laska Twoja i kij Twój mnie pocieszają.* Uchwyciłam się tych słów i chcę kroczyć dalej przez życie bez lęku.

Wierzę, że gdy moja pielgrzymka na ziemi się skończy, w Niebiańskim Domu spotkam mojego ukochanego syna i razem będziemy cieszyć się tym wszystkim, co przygotował dla nas Jezus”.

Gdy umiera nam dziecko



Rodzimy się, żyjemy, umieramy... Taka jest kolej rzeczy. Oczywiście, stwarzając nas, Bóg chciał, żebyśmy żyli wiecznie. Ale, niestety, pierwsi ludzie zgrzeszyli, a śmierć jest konsekwencją ich postępków. Umierają wszyscy, jednak mamy możliwość żyć wiecznie. Umożliwił nam to Jezus Chrystus przez swą ofiarę na krzyżu. Kto tę ofiarę przyjmie dla siebie i poprosi o przebaczenie swych grzechów, będzie żył wiecznie w Niebie, mając bliską społeczność z Bogiem. Kto tego nie uczyni w swoim ziemskim życiu, niestety – idzie na potępienie. A co się dzieje z dziećmi?

Śmierć dziecka jest dla rodziców ogromną tragedią. Przecież dziecko było ich wielką radością, planowali dla niego jak najlepszą przyszłość. A teraz nic z tego. Wierzący rodzice dodatkowo martwią się, co się stanie z ich dzieckiem po śmierci.

No, właśnie – co? Przecież małe dziecko nie potrafi świadomie zaprosić Pana Jezusa do swojego życia, prosić Go o przebaczenie swego złego postępowania. To my, dorośli, oceniamy to postępowanie jako złe. Gdy małe dziecko ze złością krzyczy i zabiera drugiemu zabawkę, my wiemy, że to jest złe. A dziecko? Ono krzyczy, bo chce coś dostać, a nie wie i nie umie o to poprosić. Zabiera zabawkę, bo też chce się nią pobawić. Małe dziecko nie zdaje sobie sprawy z tego, że jego postępek jest grzeszny.

W dodatku dziecko, które zmarło w czasie porodu, w niemowlęctwie, czy w łonie matki, czy też zostało usunięte z jej łona poprzez aborcję w ogóle nie popełniło żad-

nych czynów – dobrych ani złych. To co się z nim dzieje *potem*?

Przecież każdego z nas stworzył Bóg. Dzięki Niemu doszło do poczęcia. Stwarzając nas, znał nasz początek i koniec (patrz Ps 139,1-4). Każde poczęte życie jest osobą, nie jakimś zlepkiem komórek. Gdy takie dziecko, które jeszcze nie zdążyło żyć na tej ziemi, umiera, to umiera konkretna osoba ludzka. I co teraz?

Skoro Bóg tak bardzo chciał, aby ludzie byli z Nim, że posłał na ziemię swego Syna Jezusa Chrystusa, który poniósł karę za nasze grzechy przez śmierć na krzyżu, to tym więcej możemy być pewni, że w niebie znajdują się dzieci, które nie popełniły nic złego albo nie miały pełnej świadomości, że ich zachowanie jest złe.

Dlaczego postępowanie dziecka jest złe w oczach dorosłych? Ponieważ dziecko dziedziczy po rodzicach grzeszną naturę, ze skłonnością do grzechu. Jeżeli dziecko dorosnie, na pewno zgrzeszy. Ale nie jest obciążone grzechem swoich rodziców, a tym bardziej nie jest obciążone tzw. grzechem pierwotnym, popełnionym przez Ewę i Adama grzechem nieposłuszeństwa wobec Boga, gdy jeszcze przebywali w raju. Słowo Boże wyraźnie mówi, że Bóg nie karze dziecka za winę rodziców. Co najwyżej może ponosić konsekwencje grzechów popełnionych przez rodziców. Syn alkoholika często staje się alkoholikiem a córka źle prowadzącej się matki również często zbacza na złą drogę. Dzieje się tak dlatego, bo dziecko poszło za złym przykładem rodziców, a nie dlatego, że zostało w ten sposób ukarane. W 5 Mż 24,16 jest wyraźnie napisane, że *każdy* za

swój grzech poniesie śmierć. To samo mówi Ezechiel (18,20): Człowiek, który grzeszy, umrze. Syn nie poniesie kary za winę ojca, ani ojciec nie poniesie kary za winę syna. Sprawiedliwość będzie zaliczona sprawiedliwemu, a bezbożność spadnie na bezbożnego. Jeżeli dziecko nie ponosi winy za grzechy rodziców, to tym bardziej nie może być karane za grzech popełniony przez Ewę i Adama w raju.

Owszem, istnieje pewien wiek, kiedy dziecko dochodzi do pełnej świadomości i odpowiedzialności za swoje czyny. Lecz jest to sprawa indywidualna dla każdego dziecka; tylko Bóg wie, kiedy konkretne dziecko dochodzi do stanu odpowiedzialności za swoje czyny, kiedy zaczyna rozumieć, że Bóg ma prawa i przykazania, i każde naruszenie ich jest grzechem, a przebaczenie można uzyskać z łaski Bożej dzięki śmierci Pana Jezusa na krzyżu.

Dlaczego więc niektóre dzieci umierają przed osiągnięciem tego stanu odpowiedzialności i gdzie się znajdują po śmierci? Na pewno w Niebie, w obecności Bożej. Skoro nie popełniły świadomie niczego złego, a Bóg nie karze dziecka za winy przodków, On od razu przyjmuje je do nieba, do grona zbawionych, choć przecież takie nieświadome dziecko nie prosiło o zbawienie. Jednak zbawienia dokonuje Bóg z łaski. I ta łaska obejmuje również dzieci.

Natomiast dorośli, którzy żyją w niewierze, są winni grzechu, gdyż mogli poznać Boga przez Jego dzieła i przez objawiającą się na różny sposób moc Bożą. Potrzebny jest tu również głosiciel drogi zbawienia. Ale jeśli ktoś woli drogę grzechu od drogi zbawienia, sam przypieczętowanie swój los. Widzimy to na przykładzie dwóch synów

Dawida: nieślubnego syna Dawida poczętego z Batszebą i Absaloma. Nieślubny syn został poczęty w grzechu i odziedziczył po rodzicach grzeszną naturę, ale nie popełnił jeszcze żadnego grzechu – dlatego Dawid był świadomy, że jego dziecko jest w niebie i nie rozpoczął po jego śmierci. Natomiast Absalom świadomie popełnił grzech, gdyż zbuntował się przeciwko ojcu i przeciwko sprawowanej przez niego władzy królewskiej, a gdy zginął, zaplątawszy swe włosy w gałęziach drzew, Dawid rozpoczął. Zdawał sobie sprawę z tego, że Absalom umarł jako zbuntowany grzesznik i dlatego poszedł na potępienie. Oczywiście, gdyby Absalom upamiętał się przedtem ze swojego buntu, Bóg okazałby mu łaskę. Ale on tego nie uczynił, nie miał takiego zamiaru.

Nieślubny syn Dawida nie miał się z czego upamiętać, gdyż nie popełnił żadnego grzechu. Ani też nie popełni. Każde dziecko, które w związku ze swą niewinnością znajdzie się w Niebie, również nie zrobi już nigdy nic złego, ani nawet nie pomyśli o niczym złym, nie powie niczego złego. Takie dziecko nie doświadczy żadnego bólu, smutku ani cierpienia – ponieważ w Niebie nie ma takich rzeczy. Nie doświadczy również z tego samego powodu nienawiści, nieporozumień, rozczarowań czy rozłamów. Będzie natomiast doświadczało pełni radości i szczęścia, będzie przebywać w atmosferze chwały Bożej. Będzie święte i czyste, stanie się podobne do Jezusa (patrz 1 J 3,2).

Oczywiście, wolelibyśmy, aby nasze dziecko żyło z nami, byśmy mogli oglądać, jak się rozwija i wzrasta. Ale jeżeli dziecko od razu znalazło się w Niebie, pozostaje nam po prostu przyjąć to i żyć tak, abyśmy po śmierci mogli się z nim tam spotkać.

Opracowanie na podstawie książki Johna MacArthura „Bezpieczne w ramionach Boga”

Bóg

reżyserem mojego życia



Z opowiadań mojej mamy wiem, że jestem wymodlonym dzieckiem. Dwie starsze siostry umarły we wczesnym dzieciństwie. Mama była tym załamana i gorliwie modliła się, aby Bóg dał jej jeszcze dziecko i by ono mogło żyć i służyć Bogu.

Od dzieciństwa czuję błogosławieństwo Boże nad moim życiem. Od najmłodszych lat rozmawiałam z Bogiem. Pragnęłam być jak najbliższej Boga, poznawać Go i odczuwać Jego obecność. Moi rodzice żyli bogobojnie i zasiali ziarno miłości Bożej w sercach nas, dzieci – mnie, Mariana i Janka. Wychowywaliśmy się w trudnych, pełnych niedostatku powojennych latach. Gdy chodziłam do liceum, zauważyłam na pewnym budynku w mieście napis: Kościół Ewangelicznych Chryścjan. Bardzo pragnęłam tam pójść, ale koleżanki śmiały się ze mnie i z ludzi, którzy tam uczęszczali. Jednak obiecałam sobie, że kiedyś muszę tam pójść i zobaczyć.

Pamiętam, jak w latach młodości modliłam się do Maryji i zawierzałam jej swoje losy. Modliłam się o dobrego męża, z którym założę rodzinę opartą na fundamencie Bożym. Jednak już po roku okazało się, że nie

mogę liczyć na człowieka, którego poślubiłam. Nasze małżeństwo przetrwało 25 lat. W tym czasie wiele wycierpiałam, jednak wiem, że Bóg zawsze był ze mną i wspierał mnie.

Urodziłam pięcioro dzieci w odstępach kilku lat. Z powodu alkoholizmu męża ciężko było mi je wychowywać. Przeżyłam operację piersi, w wyniku czego osiawiałam w wieku dwudziestu kilku lat. Starszy syn ciągle chorował. Pracowałam także w przedszkolu. Tak więc bardzo wiele obowiązków niosłam na swoich barkach. Nie wiem, jak temu podołałam, ale Bóg dodawał mi siłę i zdrowia, za co jestem Mu wdzięczna

Chciałam w tym czasie przekazać moim dzieciom, jak wielką wartość ma nasze życie w oczach Boga, ale nie wiedziałam, jak to zrobić.

Byliśmy katolicką rodziną żyjącą zgodnie z nakazami kościoła, jednak nie czułam w sercu, że podobamy się Bogu. W godzinach

smutku wołałam nieraz do Jezusa, aby wzmocnił moją wiarę.

W tym czasie mój młodszy brat był w wojsku. Dwa tygodnie przed wyjściem z wojska postrzelił go kolega i brat zmarł, mając 21 lat. Był to dla nas ogromny cios. Zbuntowałam się wtedy strasznie, głównie przeciwko Bogu. Obrzucałam Go obraźliwymi słowami i pytałam ciągle: „Dlaczego?!”. Narastał we mnie ogromny żal, w dodatku gdy patrzyłam na rozpacz mamy, która straciła już trzecie dziecko. Ta sytuacja zrodziła w moim sercu ogromny smutek. W dodatku brat zachowywał się, jakby coś przeczuwał. Gdy był w domu na urlopie, powiedział nam, że wydaje mu się, że nie wróci z wojska razem z kolegami, lecz nie umiał powiedzieć, dlaczego. Poza tym miał zapisane w swoim notesie, że musi zacząć życie od nowa, bo wojsko zabrało mu najpiękniejsze lata. Niestety, nie zdążył...

W tej sytuacji bardzo zbliżyłam się do Boga. Poprosiłam ojca o Biblię, którą swego czasu dał mu kolega. Chciałam przez czytanie zbliżyć się do Boga. Nie wszystko, co czytałam, rozumiałam, ale niektóre wersety odkrywały przede mną wielką mądrość i tajemnice Boże. Zaczęłam poznawać mojego Boga.

Moja trzyletnia córeczka Wioletka zachorowała, gdyż organizm nie zwalczył wirusa zawartego w szczepionce przeciw odrze. Doprowadziło to do całkowitego bezwładu. W Centrum Zdrowia Dziecka profesor postawił diagnozę: nieuleczalna postępująca choroba mózgu. Zjeździłam z nią niemal pół Polski, byłam u różnych specjalistów, u znachorów także. Jednak żadne sposoby leczenia nie przyniosły rezultatu. Po niecałych

dziesięciu latach córka zmarła. Rozpacziałam ogromnie. Codziennie żegnałam się z nią. Wzywałam Boga na pomoc, gdyż nie umiałam podnieść się z rozpaczny.

Pewnego dnia zobaczyła mnie zapłakaną w autobusie jakaś dziewczyna i podeszła do mnie, pytając, dlaczego jestem taka smutna. Kiedy mnie wysłuchała, powiedziała: „Będziemy się modlić”. Potem zaprosiła mnie na spotkanie domowe, gdzie mieliśmy się modlić w tej sprawie.

Znowu sięgnęłam po Biblię. Czytałam ją w dzień, czytałam w nocy. Potem, gdy znalazłam się na spotkaniu, na którym mieliśmy się modlić w mojej sprawie, widziałam na stole Biblię oraz zobaczyłam, jak ludzie rozmawiali z Bogiem. Tak, oni nie odmawiali wyuczonych formułek, lecz po prostu mówili do Boga o swoich problemach, dziękowali za wysłuchane wcześniej modlitwy. I właśnie w ten sposób, w takim miejscu, spotkałam Jezusa. Odczułam, że stanął przede mną i zapytał, czy pójdę za Nim. Odpowiedziałam, że tak, bez względu na okoliczności.

Wysłam z tego miejsca szczęśliwa, chociaż wchodziłam tam pełna buntu. A teraz pomimo wszystkich trosk i ciężarów, które nadal były moim udziałem, chciało mi się wyjść na ulicę i krzyknąć, że Jezus mnie kocha. Jezus dał mi pokój, radość i miłość. To było to, na co moje serce czekało. On ulżył mi w moich ciężarach. Czułam, że Jezus zaplanował to spotkanie, aby mi pomóc.

Postanowiłam przyjąć chrzest przez całkowite zanurzenie w wodzie, na sposób biblijny. Wtedy w mojej rodzinie rozgorzała walka. Sprzeciwiali się rodzice oraz mąż. Dzieci przyglądały się temu wszystkiemu,

ludzie wokół śmiali się ze mnie. Jednak przyjąłem chrzest w 1989 roku. Odtąd Jezus pomagał mi iść przez życie. Czytaliśmy wtedy w domu Biblię i poznawaliśmy, co Duch Święty mówi do nas.

Dwa lata po śmierci córki tragicznie zmarł mój mąż. Spadł ze schodów, łamiąc kręgoszyjne. Zostałam wdową.

W tym czasie nawróciła się siostra męża oraz jego siostrzeniec, a także niektóre moje dzieci. Po czasie nawrócili się moi rodzice, choć nie obyło się bez oporu ze strony ojca, który początkowo myślał, że odeszłam od Boga, skoro odeszłam od kościoła katolickiego. Ale przekonał się, że się myli i sam zaczął czytać Biblię, co doprowadziło go do spotkania z Jezusem. Dziś rodzice cieszą się bliskością z Bogiem i z moimi dziećmi. Jezus ich przemienił, jak czyni to ze wszystkimi, którzy należą do Niego.

Gdy zostałam wdową, miałam 44 lata. Powiedziałam wówczas Bogu, że przyjmę każdą Jego wolę: czy mam spędzić resztę życia sama, czy też postawi jeszcze kogoś na mojej drodze, z kim będę mogła się połączyć.

Pracowałam wówczas w sklepie. Pewnego razu przyszedł do sklepu znany mi z widzenia mężczyzna, prosząc o coś do jedzenia. Nie miał przy sobie pieniędzy i powiedział, że odda później. Mimo pewnych obaw dałam mu jakąś wędlinę. Należność przyniósł za kilka dni. Gdy następnym razem przyszedł i znowu poprosił o coś na kredyt, powiedział, że w niedługim czasie odejdzie z tego świata. Na moje pytanie o powód, powiedział, że nie widzi sensu dalszego życia. Potem opowiedział mi koleje swego losu: mama zmarła mu, gdy był w 7. klasie, zostało czworo dzieci. Jako najstarszy opiekował się braćmi, pomagała mu babcia. Po wojsku

ożenił się, mając 21 lat, ale małżeństwo trwało bardzo krótko, przed czym przestrzegła go babcia, która jakoś wyczuwała, że tak może się stać. Teraz płaci alimenty na dwójkę dzieci. W dodatku został zwolniony z pracy z powodu redukcji etatów. Pozostał mu tylko zasiłek dla bezrobotnych. Ojciec i dziadkowie nie żyją i nie mogą mu pomóc. Tak więc nie pozostaje mu nic innego, jak skończyć ze swoim życiem.

Wynurzeń tych słuchałam z bólem serca. I Bóg także je słyszał. Westchnęłam do Niego, a potem dałam mężczyźnie coś do jedzenia. Dałam mu też Biblię i zachęcałam, aby karmił się codziennie Słowem Bożym i wołał do Jezusa, a Bóg zmieni całe jego życie.

Za kilka dni mój nowy znajomy przyszedł, aby oddać mi dług. Tym razem sam miał ochotę porozmawiać o Bogu. Podarowaną mu Biblię przytulił do siebie, w odróżnieniu od innych osób, które odrzucały Słowo, które chciałam im podarować. Zapytałam go, czy chce, bym poprosiła w modlitwie, aby Jezus zmienił jego życie. Ponieważ się zgodził, usiedliśmy przy stoliku i wzięwszy go za rękę, głośno modliłam się o jego życie: o zmianę, pomoc, łaskę i błogosławieństwo. Ta modlitwa miała miejsce w sklepie, lecz dzięki Bogu, nikt nam nie przeszkodził.

Znajomy pragnął czytać, słuchać kazań z kaset, zaczął też jeździć ze mną na nabożeństwa, słuchał świadectw. Pewnego razu przyszedł na spotkanie domowe, będąc pod wpływem alkoholu. Zwróciłam mu w związku z tym uwagę, ale on powiedział, że przyszedł, bo chce być w tym miejscu. Przez całe spotkanie słuchał, śpiewał pieśni.

Widzieliśmy, jak ten człowiek się zmienia. Znajomi dokuczali mu, ale on pokonywał wszelkie trudności z pomocą Bożą. Pewnego razu powiedział kolegom, że nie pije. Zdziwili się, nawet on sam się dziwił, że to stało się możliwe. Następnym problemem były papierosy. Palili bardzo dużo. Wiedząc o tym, sama modliłam się o Bożą mądrość, jak mu o tym powiedzieć, gdy przyjdzie. Otrzymałam odpowiedź, którą mu powtórzyłam: ma wziąć tytoń, papierosy, popielniczkę i wrzucić to wszystko w ogień i powiedzieć: „Idź precz z tym nałogiem w imię Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego”. Powiedziałam mu też, żeby nie przychodził szybciej, aż zobaczy efekt drastycznego pozbycia się wszystkiego, co się wiąże z paleniem.

Przyszedł za kilka dni, stwierdzając, że nie pali, chociaż jemu samemu trudno było w to uwierzyć. Powiedziałam mu, że będziemy obserwować, co się będzie działo i że jeżeli przez rok nie zapali, to znaczy, że Bóg go uwolnił. Ale on nawet nie kaszlał po zaprzestaniu palenia. Po dwóch latach przyjął chrzest.

Pewnego razu wyrzekł słowa, które dla mnie były znakiem, że jest darowanym mi przez Boga partnerem na dalsze życie. Po dłuższym zastanowieniu się, w roku 2000, wzięliśmy ślub. To był Boży plan. Jezus jest z nami. Mamy teraz przed sobą wielką misję: modlimy się o te osoby, które chodzą swoimi drogami i opowiadamy o tym, co Jezus dla nas uczynił. Na sercu leży mi zbawienie mojego brata Mariana i całej jego rodziny. Wierzę w to, bo przecież w Biblii jest obietnica, że jeśli uwierzymy w Jezusa, będziemy zbawieni sami i cały nasz dom. Wielu z naszej rodziny potrzebuje powierzenia swojego życia Jezusowi. Mam sied-



mio wnuków – o ich zbawienie także się modlę.

**Kocham ten czas,
kiedy przebywam blisko Boga
na nabożeństwie,
podczas osobistej modlitwy,
kiedy modlę się o swoje czy
czyjeś sprawy. Cieszę się,
że możemy modlić się
razem z mężem.**

Dzięki Ci, Boże, za tę możliwość! Niech chwała płynie przed tron Boga Ojca, niech Jezus będzie uwielbiony, a Duch Święty niech nas prowadzi. Łaska i błogosławieństwo Boże niech zawsze będą z nami. Amen.

Dziedzictwo

Pobraliśmy się z Johnem w 1994 roku i osiedliliśmy się na wsi w stanie Illinois. Mąż prowadził zajęcia terapeutyczne w lokalnym więzieniu. Uwielbiał swoją pracę, a ja, w miarę jak pojawiały się kolejne dzieci, cieszyłam się tym, że mogę być z nimi w domu i zajmować się gospodarstwem. Oboje rozwijaliśmy się w swoim powołaniu. Ja, będąc z zawodu nauczycielką, odkryłam wspianą formę prowadzenia zajęć szkolnych z naszymi dziećmi w domu i starałam się jak najlepiej inwestować w ich edukację. Wszystko układało się po naszej myśli. Mieliśmy sporo miejsca, każde z nas mogło swobodnie pracować, gromadzić materiały do pracy i cieszyliśmy się swoim wspólnym życiem.

Po 15 latach małżeństwa byliśmy rodzicami ósemki dzieciaków, choć w tym czasie troje straciliśmy przez poronienie. Kiedy nasze najmłodsze dziecko skończyło siedem miesięcy, John nagle się rozchorował. Był silnym mężczyzną, nigdy nie brał żadnych leków, więc początkowo nikt nie brał jego choroby zbyt poważnie. Niestety, wraz z upływem tygo-

dni jego stan stale się pogarszał. Pojechaliśmy do lekarza, który postawił diagnozę, że to białaczka.

Szczerze mówiąc, nie uwierzyłam w jego słowa. Nie byłam świadoma tego, co się dzieje, aż do momentu, gdy lekarz poinformował nas, że John ma zaledwie trzy tygodnie życia, jeśli od razu nie zdecyduje się na terapię. Wtedy serce we mnie zamarło. Do tej pory dzieliliśmy się wszystkimi obowiązkami i pracą na gospodarstwie, a teraz on miał znaleźć się w szpitalu i zostawić mnie samą z tym wszystkim? Dzięki Bogu, po jakimś czasie mogliśmy razem wrócić do rodziny i przyjaciół, którzy wspierali nas jak tylko mogli. John przez następne kilka miesięcy starał się utrzymać przy życiu, a ja robiłam, co mogłam: jeździłam po zakupy, dbałam o naprawy w gospodarstwie, realizowałam opłaty za ubezpieczenie, umawiałam wizyty lekarskie i byłam łącznikiem między Johnem i jego pracodawcą, bo starał się choć częściowo pracować.

Po ciężkiej chemioterapii nastąpiła remisja, która trwała prawie rok, ale, niestety, nowotwór wrócił. Na tym etapie pozostał już tylko przeszczep szpiku, który ofiarowała siostra Johna. Taki zabieg może okazać się ratunkiem, jeśli ciało pacjenta go przyjmie, ale może być zdradliwy, gdy go odrzu-

ci. Niestety, w przypadku Johna po jakimś czasie okazało się, że jego ciało odrzuciło komórki. Zaczęły się zakrzepy, rak skóry, wrzody, rany, utrata zębów i niemal zupełna strata wzroku. Znowu znalazł się na oddziale i walczył dosłownie o każdy kolejny dzień.

Ostatnie miesiące 2013 roku były dla niego bardzo bolesne, ale John nie zamierzał się poddać. Uśmiechał się do nas i starał się nas pocieszać. Pracował nad rysunkami i planami naszego wymarzonego ogrodu. Podczas posiłków żartował z nami, choć jedzenie sprawiało mu wiele trudności, wręcz bólu. Każdego roku przygotowywał każdemu z nas wyjątkowe prezenty na Święta Bożego Narodzenia oraz na urodziny dzieci. Chodził z nami wiernie do kościoła i wierzył, że Bóg wie lepiej, co robi. Nigdy nie zwątpił w Bożą mądrość, nawet w czasie nasilającego się cierpienia.

Jako żona i matka musiałam znosić żal z powodu jego cierpienia, cierpienia dzieci, które to wszystko widziały, a także moją własną rozpacz i ból. Byliśmy bezsilni wobec postępującej w jego ciele choroby. Jedynym rozwiązaniem w tych okolicznościach było po prostu

przebywanie z nim, bo miłość sprawia, że chcesz być blisko drugiej osoby, chociaż jest to trudne i bolesne. Chcesz być blisko nawet wtedy, gdy sprawia ci to większy ból niż są to w stanie wyrazić jakiegokolwiek słowa.

15 grudnia 2013 John uległ zakażeniu i dostał zapalenia płuc, zapadł w śpiączkę i przeżył dwa ataki serca. O godzinie 19.07 odszedł. Wszystkie prezenty na Święta Bożego Narodzenia i na urodziny dzieci były starannie zapakowane...

Nie ma go wśród nas, ale wiem, że żyje. Bardzo cierpiał, a my razem z nim, jednak jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy mu towarzyszyć do końca tej trudnej drogi. Nasza najmłodsza córka ma pięć lat i przez całe swoje życie pamięta tatusia jedynie jako chorego i słabego, ale doskonale wie, że była przez niego, podobnie jak pozostałe dzieci, bardzo kochana. Ona wie, jaki jest prawdziwie dobry ojciec. To jest dziedzictwo, które John zostawił naszym dzieciom.

W maju świętowalibyśmy naszą 20. rocznicę ślubu, lecz w tym roku ten dzień nie był jakimś szczególnym. Teraz, kiedy spisuję to świadectwo, mam świadomość, że John żyje. Bóg jest dobry i życie to coś o wiele więcej, niż to, co teraz oglądamy naszymi oczami.





Przeżyć śmierć męża

Przez 35 lat byłam żoną wspaniałego mężczyzny. Bob był cudownym mężem, ojcem, pastorem, wydawcą, poetą i mówcą. Wspaniale było być jego „ukochaną dziewczyną”. Kiedy zmarł, w moim sercu pojawiło się wiele pytań. On miał 56 lat, a ja 52. Troje z naszych dzieci ciągle potrzebowało ojca. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego mężczyzna, który tak kochał Boga, musiał odejść tak wcześnie.

Ale Bóg miał plan. W ślad za tym wydarzeniem przyszła nowa świadomość i wrażliwość na cierpienie innych, a także pojawiły się w moim życiu nowe sposobności do poświęcenia się dla innych.

Bóg zaczął mnie używać do pomagania innym ludziom. Uczylałam się przyjmować błogosławieństwa płynące z pocieszania, jakie oni ofiarowali mi w zamian za moją pomoc.

Minęło 17 lat od czasu, gdy Bob odszedł do Pana. To, że bardzo mi go do dzisiaj brakuje, jest zrozumiałe. Jednak jego śmierć

stała się dla mnie drzwiami do służenia innym. Każdy, kto mnie zna osobiście, wie, że urodziłam się z darem przemawiania. Ale istnieje duża różnica między mówieniem do przyjaciół, a przemawianiem do dużej publiczności. Zawsze uważałam, że publiczne występy są przeznaczone dla ludzi wykształconych i wykwalifikowanych do tej roli. Jak więc Bóg mógł zechcieć użyć mnie?

Przekonałam się jednak, że Bóg chce używać swoich dzieci do opowiadania o swoich doświadczeniach innym swoim dzieciom.

To dla mnie wielki przywilej, że mogę opowiadać innym o moich wrażeniach z podróży z Bogiem. Zawsze oczekuję, że kiedy otworzę moje serce przed słuchaczami, oni odwzajemnią się tym samym. Dzięki temu słyszałam wspaniałe świadectwa prawdziwych bohaterów i bohaterek wiary, świadectwa o łasce i mocy Bożej, które zmieniają ludzkie życie.

Byłam od dziecka wychowywana w Kościele. Pamiętam do dziś słowa i wyrażenia, jakich używał nasz pastor, szczególnie na środowowych spotkaniach modlitewnych.

Takie słowa, jak nadzieja, pokój, zadowolenie, radość, wiara, pocieszenie i łaska były wtedy adresowane do innych. Teraz

dzięki trudnemu doświadczeniu należały także do mnie. Odkryłam, że są więcej niż słowami. Stoi za nimi moc, dzięki której możemy żyć i umierać, która podtrzymuje nas w czasie życiowych prób.

Przypominam sobie świadectwa ludzi. Niemal widzę ich twarze, gdy wstawali i mówili: „Bóg jest wierny! W chwilach dobrych i złych, w naszych sukcesach i upadkach, w naszych przyjemnościach, jak i w bólu, pośród najciemniejszej nocy, jak i w świetlistym poranku. On jest wierny”. A wszyscy dopowiadali: „Amen”.

Ponieważ On zdecydował, że chce mieszkać w nas, możemy korzystać z darów, których posiadanie jest konsekwencją tej decyzji. Możemy być Jego dziećmi i On daje nam wiarę, że gdy przyniesiemy mu nasze „stłuczone naczynie”, to On je pobłogosławi i pozwoli, abyśmy tymi „kawałkami” mogli obdarować tych, którzy potrzebują odwagi, nadziei i wiary! Przez wszystkie chwile w moim życiu, w czasie jasnych i ciemnych dni, byłam w Domu mojego Ojca. Wiem, skąd pochodzą moja nadzieja, radość, pocieszenie. Moja wiara znalazła miejsce odpoczynku.

Znalazłam w sobie taki wymiar wiary, o którym nawet nie wiedziałam, że istnieje. Znalazłam go wtedy, gdy właśnie był mi potrzebny. I to właśnie musiałam zrozumieć.



O Bożej wierności

Nasze dwie córki wraz z mężami (Renata i Bogdan Sokołowscy oraz Elżbieta i Mirek Kurkiewiczowie) wyjechali 14 czerwca 2014 r. na urlop do Chorwacji. Nad ranem 15 czerwca dojechali do Austrii i tam Bogdan, który był kierowcą, na sekundę przysnął. Ten momentek wystarczył, by mieli bardzo poważny wypadek. Samochód zjechał na bok, uderzył w barierkę i dachowali 3 razy. W końcu samochód zatrzymał się i stanął na kołach.

Dzięki łasce Bożej, tych troje: Ela z Mirkiem i Renata wyszli z niego o własnych siłach. Jakimś cudem udało się otworzyć drzwi, mimo silnego zagniecenia karoserii. Bogdana wyciągnęli nieprzytomnego. Renata i Mirek, mimo swoich ran i stłuczeń, reanimowali go, dopóki nie nadeszła pomoc. Zabrano go helikopterem do szpitala. Mirek zaczął tracić przytomność z powodu ran na głowie i utraty krwi, więc pogotowie zabrało go wraz z Elą i Renatą do szpitala. Wtedy powiadomiono nas o wypadku.

Rozpacz. Wołanie do naszego Dobrego Ojca. Bardzo chcieliśmy wiedzieć, co nam powie nasz Bóg. I tak modłać się,

otworzyliśmy Biblię, a nasz wzrok padł na słowa zapisane w Księdze Jeremiasza 33,6: Oto ja sprawię, że zbliżnią się ich rany i uleczę ich, uleczę ich i obdarzę trwałym pokojem i bezpieczeństwem. Mimo twógi i powagi sytuacji nasze serca napłynęły się radością i Bożym pokojem. Zadzwoniliśmy do zrozpaczonych wnuków i do córki Asi, dzieląc się z nimi otrzymanym słowem od Boga, pocieszając ich, że to, co Bóg obiecał, tego dokona.

W tym samym dniu nasza trzecia córka Asia wraz z mężem i dwoma synami Bogdana, Rafałem i Bartoszem, pojechali do szpitala w Austrii. Okazało się, że Mirek miał zabieg – ma pozszywaną głowę. Dziewczyny cierpią z powodu wstrząsu, połamania niektórych żeber i kości. Natomiast Bogdana przewieziono do szpitala oddalonego od całej trójki o 50 km.

Pomimo tej sytuacji otrzymane Słowo Boże przyświecało nam. Modliliśmy się gorąco z całą rodziną, ufając Bogu. Do naszych modlitw dołączył zbór, codziennie schodząc

się na modlitwę. Zresztą nie tylko nasz zbor – włączył się cały Kościół Boży, nie tylko w Polsce, ale i na Ukrainie, we Francji, w Hiszpanii, USA i Kanadzie. Otrzymywaliśmy telefony zapewniające nas o tym, że Kościół woła do Boga. Wiedząc o tym, dziękowaliśmy Bogu za Jego Kościół i takie cudowne wsparcie, co wzmocniło naszą wiarę i uświadomiło nam, że nie jesteśmy sami!

Czekaliśmy kilka dni, codziennie dowiadując się, że Bogdan ciągle jest w śpiączce, nie oddycha samodzielnie. Na czwarty dzień cała trójka wyszła ze szpitala i mimo złego jeszcze stanu pojechała odwiedzić nieprzytomnego Bogdana.

Po sześciu dniach część z nich wróciła do Polski, a Renata, żona Bogdana i syn Bartosz pozostali w Austrii, wynajęli pokój i codziennie odwiedzali Bogdana zaintubowanego, nieprzytomnego, ciągle do niego mówiąc, pomimo braku reakcji z jego strony.

My znowu zwróciliśmy się do Boga z prośbą o Słowo od Niego w tej sprawie. Otrzymaaliśmy fragment z Obj 2,10: *Oto diabeł wtrąci niektórych z was do więzienia, abyście byli poddani próbie i będziecie w udręce 10 dni. Przyjęliśmy dosłownie te 10 dni. Wiedzieliśmy, że Renata z Bartoszem i Bogdan są w tym czasie jak w więzieniu i że są poddani próbie, ponieważ codziennie patrzyli na męża, ojca, który leżał bezwładny i nieprzytomny. Czekaliśmy na ten 10. dzień, ufając, że Bóg czegoś dokona, choćby na mały znak, czekaliśmy na telefon od Renaty.*

I rzeczywiście! Bóg jest wierny swojemu Słowu. Dziesiątego dnia jakiś znak oczami, lekkie drgnięcie głową, a jedenastego dnia Bogdan uściśnął Renatę za rękę w odpowiedzi na pytanie, czy ją słyszy. Chwała Bogu! Wiedzieliśmy, że zaczyna się wybudzanie i codziennie, krok po kroku następowała poprawa stanu naszego zięcia, kolejne odłączenie maszyn, samodzielne oddychanie. Pozostał szok psychiczny, problem z płucami,

ponieważ wdała się infekcja. Ale nasza wiara oparta na Słowie była mocna, trzymaliśmy się Bożych obietnic jak kotwicy. Ufaliśmy Bogu i Jego Słowu, a nie fałom, które chciały zalać naszą łódź złymi wiadomościami.

Po czterech tygodniach pogotowie ubezpieczyciela mogło przywieźć Renatę z Bogdanem do kraju, do szpitala w Głogowie. Ale tu znowu były problemy z przyjęciem. Lekarze nie mogli zdecydować, na jaki oddział mieliby go przyjąć. Bogdan 3 godziny leżał na noszach, umęczony po długiej podróży z Austrii. Renata zdecydowała się zabrać męża do domu na własne żądanie i to była słuszna decyzja.

W domu, na swoim łóżku, w otoczeniu najbliższych: żony, synów, synowej i kochanej wnuczki Amelci, Bogdan już w pierwszym dniu pobytu na chwilę podtrzymany usiadł. Renata zamówiła lekarza i rehabilitanta. Po kilku dniach ćwiczeń stanął na nogi. Zaczął chodzić, wróciła pamięć, ustąpiły koszmary nocne, które były udręczeniem.

Dzisiaj, po pięciu miesiącach od tamtego wydarzenia, możemy głośno wołać: „Chwała Panu Bogu Najwyższemu, Wszechmogącemu!”. Słowo, które powiedział, wypełniło się. Dwie córki i zięć Mirek powrócili już do pracy, a Bogdan wrócił do służby pastorskiej w swoim zborze, pomimo że nadal jest rehabilitowany ze względu na problemy z ręką i kręgamii szyjnymi.

Przeżyliśmy jako rodzina grozę sytuacji, ale też doświadczaliśmy Bożej pomocy, ochrony. Bóg zachował moich bliskich od śmierci i kalectwa, ale też pocieszał nas i czuliśmy Jego obecność. Pragnę również podkreślić ważną rolę Kościoła: braci i sióstr, którzy nieśli nas w modlitwach i pocieszali. Za to wszystko niech będzie nasz Pan uwielbiony. Niech cała chwała będzie oddana Bogu Ojcu w imieniu Jezusa Chrystusa. Tylko Jemu należy się chwała i cześć. Amen.

Co to znaczy być dobrą synową? Takie pytanie zadaję sobie od ponad roku, czyli od czasu, gdy moja teściowa odeszła do Pana. Znałyśmy się ponad trzydzieści lat i przez cały ten czas, wyłączając okres choroby przed śmiercią, miałyśmy ze sobą dobry kontakt. Spędziłam wiele wakacji u rodziców męża, pomagając im w różnych pracach domowych i na gospodarstwie. Szanowałam ich, jako ludzi szlachetnych, pracowitych i pobożnych.



O relacji z teściową

Teścia odwołał Pan do wieczności już wcześniej, mamą opiekował się ktoś z rodziny. Ponieważ osoba sprawująca tę opiekę zachorowała, koniecznym okazało się zamieszkanie w domu rodziców, przede wszystkim po to, by otoczyć mamę troską. Oprócz tego należało przejąć wszystkie obowiązki gospodarza domu, a więc zadbać o opał, ogrzewać dom i wykonywać wiele prac porządkowych w obejściu. Podjęliśmy się z mężem tego zadania z radością i ustaliliśmy z innymi członkami rodziny harmonogram działania. Zostawiliśmy nasze mieszkanie pod opieką sąsiadów, przekazaliśmy innym członkom zboru służbę, w jaką jesteśmy zaangażowani i wyjechaliśmy do odległej miejscowości.

Wydawało mi się, że skoro tyle podporządkowałam jednemu celowi, jakim była opieka nad mamą, to będę z tego powodu odczuwała tylko radość i satysfakcję. Myliłam się. Moje oddanie nie spotkało się ze zrozumieniem.

Byłam krytykowana niemal za wszystko, co robiłam. Sprawiało mi to ból i powodowało smutek, a kolejne dyżury stawały się coraz trudniejsze. Nie zrezygnowałam jednak z podjętego zobowiązania i trwałam na tym posterunku prawie przez rok, do czasu, jaki wyznaczył Pan.

Podczas tych długich tygodni, gdy byłam niedoceniana i strofowana, czułam się fatalnie (używam świadomie tego określenia). Bywało, że okazywałam zniecierpliwienie, mówiłam mamie, że gdyby chociaż trochę była ze mnie zadowolona, mnie też byłoby łatwiej z nią przebywać. Do dziś nie potrafię zrozumieć, dlaczego tyle dezaprobaty było w jej odnoszeniu się do mnie i tego, co robię. Może mama była zła na siebie, na swoją chorobę i nieporadność, skazującą ją na zależność od innej osoby? Może zbyt długo zwlekała z oswojeniem się z myślami, iż starość nadejdzie nieuchronnie i przyniesie dni, które mogą się nie podobać? Może nie potrafiła powierzyć siebie opiece synowej, bo wydawało się jej to upokarzające? Może wyobrażała sobie inaczej ostatnie lata swego życia i nie pogodziła się z tym, że to już nie ona decyduje i „rządzi”, a robi to ktoś inny.

Analizuję to przede wszystkim dla samej siebie, by podobnego „prezentu” nie sprawić swoim synowym.

**Uświadomiłam sobie, nie po raz pierwszy zresztą,
że pracować nad sobą trzeba zanim nadejdzie starość.
Na podstawie moich przeżyć sądzę, że umysł osoby mającej
osiemdziesiąt pięć lat widocznie jest już zbyt mało elastyczny,
by przyjąć jakąkolwiek uwagę. Dane mi było zastanowić się
nad tym, jak ważna jest umiejętność poddawania się zmianom
i gotowość do przyznania racji również komuś innemu,
nie tylko samemu sobie.**

Po raz kolejny w swoim życiu rozważałam, ile trzeba mieć w sobie pokory, by przyjąć wszystko to, co zamierzył dla nas Pan, bez buntu i sprzeciwu okazywanego bliskim często bezpodstawnie.

Na podstawie Listu do Kolosan (3,23-25) dokonałam pewnej autorecenzji. Uznaję, że opiekowałam się mamą z pełnym poświęceniem i oddaniem. W tym zakresie nie mam sobie nic do zarzucenia. Pytam jedynie, czy robiłam to rzeczywiście tak, jak dla Pana, skoro nie od Niego, lecz od ludzi oczekiwałam uznania i wdzięczności. Kiedy zaś nie otrzymywałam podziękowania, byłam rozczarowana i zdegustowana. Mam sobie do zarzucenia brak cierpliwości, wynikający z ciągłego niezadowolenia chorej i krytykowania prawie wszystkiego, co robiłam. W żaden sposób nie skrzywdziłam jednak mamy (werset 25), nie krzyczałam na nią, nie obrażałam jej.

Wolałabym jednak składać inne świadectwo dotyczące tego trudnego okresu: że wytrzymałam, że nie szukałam uznania dla tego, co robię i że tylko od Pana oczekiwałam zrozumienia. Męczy mnie poczucie porażki, bo w takich kategoriach to oceniam. Z drugiej strony, cieszę mnie słowa apostoła Pawła w Liście do Rzymian, 8,28 o współdziałaniu Boga we wszystkim ku naszemu dobru.

Kiedy po śmierci mamy podjęłam się opieki nad starszą osobą, postanowiłam być cierpliwa i nie domagać się uznania moich racji. Pan dopomógł mi zrealizować to postanowienie.

Jestem z tego dumna, ale jednocześnie jest mi przykro, iż okazałam się niedoskonała w relacjach z kimś tak bliskim, jak mama mojego męża.

Dziękuję Panu, że to przez Jego słowo mogę przyglądać się sobie każdego dnia na nowo, by dążyć do doskonałości. Nie muszę popadać we frustrację, że coś mi się nie udało ani gromadzić w sobie pokładów niezadowolenia i urazy. Nie chcę też przechowywać w swojej pamięci tylko ostatniego roku, który wraz z mamą przeżyłam, choć to, co najświeższe, pamiętamy najlepiej i najdłużej. Pragnę w swych wspomnieniach zachować również wcześniejsze lata, które dane nam było spędzić w pokoju i wzajemnym poszanowaniu. A ostatni rok chcę traktować między innymi jako lekcję pokory, którą zaserwował mi Pan, by kształtować mój charakter poprzez trudne doświadczenia. W wyniku tych przeżyć dziś potrafię utożsamiać się z każdym, kto doznał bólu i rozczarowania z powodu niesprawiedliwego potraktowania.

Paradoksalnie, doświadczenia z mamą pomogły mi stworzyć jeszcze lepsze relacje z moimi synowymi. Nasze wizyty w domach synów są radosne i miłe. Jeśli zdarzy się coś niemiłego, staramy się od razu to naprawić, przebaczyć sobie, a przede wszystkim nie krytykować siebie nawzajem.

„Szlifujemy” nasze relacje, uczymy się nowych ról, w jakich od kilku lat jesteśmy. Cieszę się, że każda z nas dąży do tego, by po trudnych rozmowach, w których ujawniają się różnice zdań, jak najszybciej dojść do porozumienia i nie dzielić włosa na czworo. Zauważyłam, jak ważne jest zaproponowanie szybkiego rozwiązania danej kwestii, czy też problemu bez zbędnego roztkliwiania się nad sobą. A chyba najgorszym z możliwych wyjść jest analizowanie swoich słów po rozstaniu, pisanie w swym umyśle scenariuszy typu „jak ona mogła tak powiedzieć” lub „dlaczego tak postąpiła”... Każda z nas chyba doświadczyła w swoim życiu, jakie to męczące i niekonstruktywne.

Z wdzięcznością w sercu wspominam te wizyty, kiedy przed powrotem do domu dochodziłam do porozumienia z synową, a potem padałyśmy sobie w objęcia i rozstawałyśmy się w pełnej zgodzie. Niezmiernie piękne są potem rozmyślania o pożegnaniach, którym towarzyszyły zapewnienia o wzajemnej miłości i szacunku. Równie miło jest uswiadomić sobie, iż każda z nas ma prawo do swojej indywidualności i własnego zdania, choć niezmiernie ważnym jest wsłuchać się w to, co mówi druga strona. Tylko po uwzględnieniu czyichś racji można chyba być w pełni wyrozumiałym i obiektywnym. Jestem wdzięczna mojemu Panu za te okoliczności, w których uczył mnie nie przechowywać w sercu żalu i gorzkości.

Dążę do tego, by czymś małostkowym nie zepsuć sprawy o wiele ważniejszej, czyli wzajemnych relacji. Bo czymże jest satysfakcja z udowodnienia swoich racji w zestawieniu z brakiem porozumienia?

Cieszę się, że moje synowe oczekują naszych wizyt, bo zależy im na dobrych relacjach wzajemnych i więzi z ich dziećmi, naszymi kochanymi wnukami. Cieszę się z prezentów,

jakie mogą ofiarować swym potomnym. Głównie jednak cenię sobie wspólnie spędzony czas. Przyjemnie jest również uświadomić sobie, że nasze synowe mają podobne do moich oczekiwania dotyczące wzajemnych relacji. By te relacje właściwie budować, każdy z nas winien dołożyć starań i dać z siebie to, co najlepsze. Myślę, że jeśli wcześniej pozwoliłybyśmy na to, żeby w naszych sercach zakorzeniły się złe uczucia, dziś nie byłoby w nas takich pragnień.

Niezależnie od okoliczności, chcę być osobą bliską i przyjazną dla żon moich synów. Wybiegam chwilami myślami do przodu i wtedy rodzą się pragnienia, by czas starości przeżyć w sposób jak najmniej uciążliwy dla bliskich. Jestem w tym szczęśliwym położeniu, że wierzę w Bożą łaskę i nie muszę się bać przyszłości. Mogę natomiast snuć marzenia bądź też rysować w swojej wyobraźni różne możliwe scenariusze. Towarzyszy mi zawsze świadomość, iż należę do grona tych kobiet, które mają obok siebie kochającego męża, bogobojnego i szlachetnego, gotowego zapewnić pomoc i opiekę w każdej sytuacji, do końca wspólnych dni tutaj na ziemi.

I jeszcze jednej rzeczy jestem świadoma... Gdy osiągniemy wiek starczy, nasze dzieci będą ciągle jeszcze osobami aktywnymi zawodowo, a ich synowie i córki (na razie mamy tylko jedną wnuczkę) zaczną wchodzić w dorosłość. Dziś wydaje mi się, że nie będziemy chcieli, by żony naszych synów opiekowały się jeszcze nami, osobami w podeszłym wieku.

**Jeśli moja przyszłość ułoży się inaczej,
niż mogę to sobie wyobrazić, a schyłek życia spędzę
pod opieką jednej lub drugiej synowej, chcę by był to czas
dobry dla każdej z nas i by ponad wszystko ważne było dla nas
zachowanie norm dobrego, chrześcijańskiego współistnienia.**

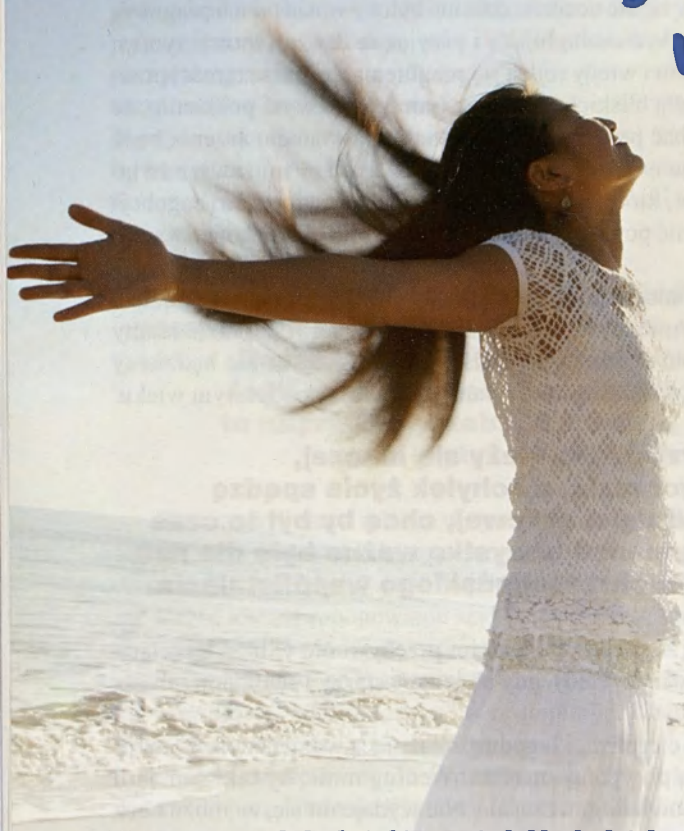
Wspaniale jest przy tym wierzyć, że przede wszystkim przebywanie w bliskiej relacji z naszym Panem okaże się radosne również wtedy, gdy będziemy starzy i słabi, potrzebujący wsparcia innych osób.

Moim pragnieniem jest być osobą cierpliwą i łagodną, okazującą wdzięczność i zrozumienie w każdej rzeczywistości, jaką przygotowuje mi Pan. Według mnie, by taki standard osiągnąć, należy zacząć o to dbać odpowiednio wcześniej. Nie wydaje mi się, że można bez wysiłku i starań być człowiekiem opisanym w Psalmie 37,37. Uznaję, że pozostawienie wszystkiego swojemu biegowi, z powiedzeniem „jakoś to będzie” jest nieuczciwe i często świadczy o naszym lenistwie i braku współpracy z Bogiem nad sobą i swoimi ułomnościami.

Mam więc ufność w sercu, że skoro towarzyszą mi takie pragnienia, w stosownych chwilach Pan pomoże mi je skutecznie realizować. Nie chcę swoich postanowień odkładać do czasu, gdy ciało będzie odmawiać posłuszeństwa, a umysł okaże się zbyt słaby, by uczyć się czegoś nowego.

Podobno jest taki okres w życiu człowieka, gdy nie ma się już marzeń, jest za to wiele wspomnień. Widocznie jeszcze nie jestem na tym etapie, bo ciągle ważne jest dla mnie jedno i drugie. Korzystam z doświadczeń lat przeszłych i wspominając je, chcę czerpać mądrość dla siebie i moich dzieci. W marzeniach zaś jest wiele miejsca dla moich synowych. Wciąż zależy mi na tym, by być dla nich nie tylko dobrą mamą, ale także przyjaciółką i żeby taką mnie zapamiętały.

Moje zwycięstwo w Chrystusie



Nie umrę, ale będę żył i opowiadał będę dzieła Pana (Ps118,17). Słowa te otrzymałam w bardzo trudnym momencie mojego życia, kiedy dowiedziałam się, że jestem poważnie chora. Diagnoza brzmiała: szpiczak, czyli nowotwór krwi. Rozmowa z lekarzem uświadomiła mi, że jest szansa na powstrzymanie rozwoju tej choroby poprzez autoprzeszczep szpiku. Wcześniej należały poddać się leczeniu metodą chemioterapii. I tak zaczęłam wędrówkę po szpitalach.

Moje dotychczasowe życie uległo całkowitej zmianie. Musiałam sobie poukładać na nowo priorytety, rytm dnia, rozkład zajęć, obowiązków itd. Nie było to łatwe, gdyż życie szpitalne bardzo mocno odbiega od życia człowieka zdrowego, który pracuje, wykonuje codzienne czynności bez takich ograniczeń jak ciężka choroba, która wyklucza go na czas bliżej nieokreślony z pracy zawodowej i wielu innych dotychczas wykonywanych zajęć.

Jednak w moim przypadku nie byłam w tym sama. Miałam w sercu Boga, któremu kilka lat wcześniej powierzyłam swoje życie i zdrowie, miałam Pana Jezusa, którego kocham,

który dał mi zbawienie i życie wieczne, byłam otoczona Bożą rodziną, która rozpoczęła razem ze mną walkę o powrót do zdrowia.

Najważniejsze było to, że moja wiara, którą pracowicie budowałam i nadzieja, którą dał mi Pan, nie zawiodły w tym czasie. Było odwrotnie: stanęłam przed moim Panem i w modlitwie poprosiłam o Jego wstawiennictwo, o ochronę i opiekę każdego dnia, aby Bóg błogosławił ten trudny czas i nigdy mnie nie opuszczał.

Czas leczenia był długi i trudny. Spotkałam wielu ludzi, podobnie jak ja, ciężko chorych.

Ponieważ często i regularnie jeździłam do szpitala, spotykałam nieraz te same osoby, które poznałam wcześniej. W tym czasie nawiązałam wiele ciekawych znajomości, poznałam wiele wspaniałych kobiet, które tak jak ja walczyły o swoje zdrowie i życie. Bóg pokazywał mi tych ludzi, dawał potrzebę dzielenia się ewangelią i tym, jak ważny jest dla mnie Pan Jezus. Zawsze, pakując się do szpitala, wkładałam do walizki kilka egzemplarzy Nowego Testamentu i traktaty chrześcijańskie, aby móc je rozdawać kobietom, z którymi przebywałam na sali szpitalnej. Modliłam się o tych, których On postawił na mojej drodze.

Ponieważ moje leczenie trwało dwa lata, miałam okazję poznać wielu ludzi. To dawało mi wspaniałe okazje do rozmów, do da-

wania wsparcia duchowego i pocieszania. Miałam też możliwość podarować Biblię nie tylko pacjentom, ale również lekarzom, pielęgniarkom, pracownikom obsługi szpitalnej. To były najpiękniejsze chwile, kiedy mogłam wręczyć Słowo Boże i porozmawiać o Bogu. Wtedy czułam, że mój pobyt w szpitalu ma sens, że mogę być użyteczna dla mojego Pana.

Sama też miałam w tym okresie wiele momentów trudnych, kiedy choroba odbierała siły, brakowało mi chęci do dalszej walki, pojawiały się wątpliwości, pytania, po co to wszystko, kiedy to się wreszcie skończy. Nie było łatwo, ale mój Pan, Jezus Chrystus nie pozwolił, abym się poddała, każdego dnia dawał mi siłę, odwagę i chęci do tego, abym wytrzymała.

Łaska Boża jest wielka i nieograniczona. W okresie trwania leczenia doświadczyłam ogromnych pokładów ludzkiej życzliwości. Wielu ludzi, których znałam, pomagało mi, modląc się o mnie, dzwoniąc, wysyłając sms-y pełne wsparcia i pociechy. Otrzymywałam też pomoc rzeczową i materialną. Wielką pomocą było wożenie mnie i odbieranie ze szpitala, do którego miałam 50 km. Koleżanki z zakładu pracy za zgodą dyrektora zorganizowały taką formę pomocy, kiedy straciłam swój samochód w dramatycznych okolicznościach.

Jestem bardzo wdzięczna Bogu, że cały czas troszczy się o mnie, zaopatruje, dba o moje potrzeby.

Ta straszna choroba, jaką jest rak, nie musi oznaczać końca świata. Można i trzeba żyć dalej. W przerwach między sesjami

chemioterapii starałam się nie myśleć o chorobie, nie rozmawiać o tych trudnych przeżyciach. Gdy wracałam do domu, uczyłam się cieszyć życiem na nowo, podczas spacerów odkrywałam uroki przyrody, niezależnie od pory roku, cieszyłam się czasem spędzonym z bliskimi, rodziną, znajomymi. Nauczyłam się wypełniać wolny czas tak, aby wzmacniać się przede wszystkim duchowo. Czytałam Pismo Święte, słuchałam ciekawych kazań, uczęszczałam na nabożeństwa, a kiedy nie miałam sił, korzystałam z nabożeństwa transmitowanego przez internet. Po takim wzmocnieniu i naładowaniu duchowego „akumulatora” łatwiej mi było jechać ponownie do szpitala.

Jak wspomniałam wcześniej, leczenie trwało bardzo długo, jednak wierzyłam, że przyjdzie dzień, kiedy nastąpi jego zakończenie. I tak też się stało.

Po 18 miesiącach nastąpił finał leczenia, czyli autologiczny przeszczep komórek macierzystych (autoprzyszczep).

W tej chwili jestem już 5 miesięcy po przeszczepie. Czuję się coraz lepiej, wyniki badań kontrolnych są bardzo dobre. Za półtora miesiąca wracam do pracy.

Dziękuję Bogu, że mnie przeprowadził przez tę *ciemną dolinę*, że dał mi wiarę, która pozwoliła pokonać chorobę, za wspaniałych ludzi, którzy byli przy mnie, modlili się o mnie, za lekarzy, którzy potrafią właściwie leczyć, za ich profesjonalizm i mądrość. Dziękuję Bogu, że chociaż wiele razy byłam

powalona, to jednak w Nim jestem niepokonana. Słowo Boże mówi:

**Zewsząd uciskani,
nie jesteśmy jednak
pognębeni, zakłopotani,
ale nie zrozpaczeni,
prześladowani, ale nie
opuszczeni, powaleni,
ale nie pokonani
(2 Kor 4,8-9).
Ciesz się, że Bóg
przywraca to,
co przeminęło (Kzn 3,15).**

W jednej z pieśni chrześcijańskich śpiewamy, że „wspaniałe jest zwycięstwo w imieniu Jezusa”, a w innej, że „do zwycięstwa prowadzi mnie mój Bóg”. Wiem, że jeszcze będę musiała stoczyć wiele walk w swoim życiu, gdyż jak mówi apostoł Piotr: *teraz na krótko, gdy trzeba, zasmuceni bywacie różnorodnymi doświadczeniami, ażeby wypróbowana wiara wasza okazała się cenniejsza niż znikome złoto, w ogniu wypróbowane, ku chwale i czci, i sławie, gdy się objawi Jezus Chrystus* (1 P 1,6-7).

Na zakończenie pragnę przytoczyć słowa Bożej obietnicy zawarte w Liście Jakuba 1,12 ku pokrzepieniu serc:

**Błogosławiony mąż,
który wytrwa w próbie,
bo gdy wytrzyma próbę,
weźmie wieniec żywota,
obiecany przez Boga tym,
którzy go miłują.**

ŚWIADECTWO UZDROWIENIA

Niedawno miałam bardzo mocne bóle w dolnej części brzucha – podobne do bólów porodowych. Męczyłam się całą noc, a nad ranem udałam się do lekarza. Doktor zrobił mi USG i stwierdził 7,5-centymetrowego guza na lewym jajniku. Ta zmiana miała być natychmiast zoperowana, toteż godzinę później znalazłam się w szpitalu. Tam ponownie zrobiono mi USG i potwierdzono diagnozę. Szykowano mnie do operacji, mocny ból nadal mnie trapił, z oczu płynęły łzy, ale w sercu czułam nadprzyrodzony pokój. Nagle ordynator zdecydował, że operacja zostanie przełożona na następny dzień i podano mi bardzo silny lek przeciwbólowy. Czułam się po nim jak po narkotyku – ból się zmniejszył, ale zaczęłam wymiotować. Przy moim łóżku stała najbliższa rodzina zaniepokojona, wręcz przerażona moim stanem i wyglądem.

Ten pierwszy dzień w szpitalu był dla mnie czasem ogromnego cierpienia. W nocy zapadałam w sen, budząc się co chwilę. Wypełniona byłam modlitwą do mego Boga i wciąż wzywałam Imienia Jezusa. Nakazywałam, aby ta zmiana uszła w Jego Imieniu i ogłaszałam Słowo Boże nad swym ciałem – głównie wersety z Ks. Izajasz 53. Nad ranem usnęłam głębokim snem. Gdy się obudziłam, nie czułam żadnego bólu, wszelkie dolegliwości ustały, odczuwałam tylko głód. Na pytanie lekarza: „Jak się pani czuje?“, odpowiedziałam, że bardzo dobrze.

Zrobiono mi kolejne USG. Dzień wcześniej trzech lekarzy widziało guza na mym jajniku. W ponownym badaniu moje jajniki były czyste, bez śladu jakiegokolwiek zmiany! Bogu niech będzie chwała!

Dwóch lekarzy zaniemówiło i powtórzyli w kółko: „To niemożliwe, to niemożliwe...” Byli bardzo zadziwieni. Sami wyrazili zdanie: „Pani została cudownie uzdrowiona!”.

Trzymano mnie w szpitalu jeszcze trzy dni. Cały czas byłam sama na sali. Miałam swobodę modlitwy, śpiewania dla Pana Jezusa, rozkoszowania się Jego Słowem! Wypałam się za wszystkie czasy, otrzymałam sporą dawkę miłości podczas odwiedzin mojej rodziny (męża, córek, brata i mamy). Miałam czas na czytanie wartościowych chrześcijańskich ksiązek.

W sali obok leżała moja koleżanka, była po operacji. Zaglądała do mnie i mówiła, że chodząc po holu słyszała, jak lekarze omawiają mój przypadek nie umiając go sobie racjonalnie wytłumaczyć, kończyli rozmowę zdaniem: „To istny cud!”. Miałam możliwość opowiedzieć jej o moim cudownym Bogu i o Jego łasce dla mnie. Słuchała mnie z uwagą. Wierzę, że to nie koniec naszych kontaktów.

Po czterech dniach wyszłam ze szpitala. Moje wyniki były fantastyczne, a kolejne USG potwierdziło nieobecność guza! Za wszystko oddaję chwałę jednemu, prawdziwemu, wiernemu Bogu Ojcu, Jezusowi Chrystusowi, Duchowi Świętemu! On czyni rzeczy wielkie, dziwne i zaskakujące! Nie wiedziałam, że szpital może stać się dla mnie miejscem odpoczynku i czasem obfitej obecności Ojca oraz niesamowitej relacji z Jego Słowem przez Ducha Świętego! Jemu niech płynie chwała!

Immus



Immanuel był dzieckiem już w 20. tygodniu ciąży skazanym na aborcję. Profesor i ginekolodzy orzekli, że nie ma mózgu, dziura w sercu, warzywo, z ogromnym wodogłowiem, nie przeżyje porodu. Pozostała modlitwa i wołanie do Boga. O aborcji nie było mowy, to bijące maleńkie serduszek poruszało uczucia i wywoływało łzy.

Immus urodził się jako wcześniaczek z wielką główką, ale z 1 cm mózgu, bez dziury w sercu. Był bardzo ruchliwym, ślicznym chłopczykiem z wielkimi, niebieskimi oczkami.

Z godziny na godzinę woda w główce wysadzała oczki z oczodołów, więc natychmiast zrobiono mu operację wstawienia zastawki oponowo-otrzewnej. Oczka wróciły do normy, ale były niewidzące. Mój wnuczus był niewidomy, nie wydawał też głosu, nie płakał, pojękiwał żałośnie. Lekarze nie dawali szans na przeżycie miesiąca. Pojawiła się padaczka, niedokrwistość, refluks, alergia, niedowład kończyn. Lekarze rozkładali ręce: neurochirurdzy, neurolog, okulista. Mózg nie wysyłał impulsów, był za maleńki.

Ukochany Bóg dał Immusiowi wolę życia i walkę o nie. Nie było chwili, abyśmy się nie modliły. Obie bez mężczyzn, mama Immusia i babcia, bo obie samotne, modliłyśmy się o uzdrowienie Immanuelka. Pan Jezus uzdrawiał dawniej, a przecież Bóg się nie zmienia, więc uwierzyłyśmy, że Bóg uzdrowi Immusia.

Pierwszy rok życia Immiego był dramatyczny: ciągle ataki padaczki, bezwładne ciało, reanimacja, powrót do życia... i tak co miesiąc. Pojawił się następny centymetr mózgu. Wierzę, że Bóg uzdrawia, a moja wiara i zaufanie w działanie Pana Jezusa są cały czas gorące i świeże. Przy takim chorym, leżącym dziecku nie sposób się nie modlić i dziękować ukochanemu Stwórcy za każdy dzień przeżyty z Immisiem.

Drugi rok życia wypełniony był nadzieją w moc Bożą i rehabilitację ciała, aby utrzymywało wielką główkę. Logopeda, terapia światłem i dźwiękami, wszystko, co możliwe dla dobra dziecka... Było coraz lepiej. A Immi przepraszał, że żyje. Był pogodnym, ślicznym chłopczykiem.

We wrześniu 2014 roku po kolejnym ataku padaczki lekarze stwierdzili, że mały widzi. Cud od Pana! O Boże, zaczął widzieć, obserwować, rozróżniać osoby, ciekawy świata wokół!!!! Immanuel ma teraz 2,5 roczku. Gdy odzyskał wzrok, stał się kontaktowy, wyciąga rączki, bawi się zabawkami, zaczyna gugać po swojemu, rozmawia po swojemu, wydaje dźwięki.

Rehabilitantka jest zadowolona bo zaczyna podnosić główkę, choć jeszcze z ogromnym wysiłkiem. Zniknęła też alergia, refluks. Nie musi już jeść specjalnego mleka, ale Bebiko z kaszą mąną, ma apetyt na zupki i banany. Uwielbia bawić się z kotem i reaguje na ulubione piosenki.

I nagle Estera zostawiła go. Odeszła, przestała się nim interesować. Była bardzo samotna z chorym dzieckiem. Ja też jestem samotna, ale bardzo Kocham Boga i On mnie wspiera.

Decyzją sądu zostałam jego prawnym opiekunem i rodzina zastępczą.

Najłatwiej byłoby dokonać aborcji i nie mieć problemu z takim dzieckiem, ale to chore dziecko Bóg leczy i leczy przez nie także nas. Uczy miłości, empatii, opieki 24 godziny na dobę. Takie dziecko jak Immuś jest cudem Bożym i, patrząc na niego, wierzy się Bogu, że żadna choroba nie jest straszna, żadne problemy nie są zbyt wielkie dla Boga.

Wierzę, że Immi jeszcze będzie siedział, chodził, biegał, śmiał się i pięknie rozmawiał, że kiedyś zarzuci mi rączki na szyję i powie: „Kocham cię, babciu”. Ufam, że Pan Jezus to uczyni. Jak nie kochać Boga, który kocha nienarodzone dzieci i daje nam nawet te chore, aby czegoś nas nauczyć, a przy tym nas wspierać?



Misja w Ugandzie

Bardzo cieszę się i jestem wdzięczna Panu Bogu, że moją drugą podróż misyjną odbyłam właśnie do Ugandy. Było to moje pierwsze doświadczenie w afrykańskim kraju. Dzięki temu mogłam przekonać się i na własne oczy zobaczyć, jak żyją ludzie w tym zakątku Ziemi.

Wraz z kilkuosobową grupą wolontariuszy zamieszkaliśmy w Domu Misyjnym w wiosce Kaihura. Nasze pole działania rozciągało się na kilka wiosek, gdzie znajdowały się różne domy dziecka wspierane od kilku lat przez polską misję prowadzoną przez Honię i Piotra Wąsowskich.

W Kaihurze byłam art-nauczycielem i prowadziłam zajęcia plastyki i muzyki w różnych klasach chrześcijańskiej szkoły podstawowej „Hope Academy” oraz w szkole zawodowej Centrum Edukacyjnego „Brama Nadziei”. Zaangażowałam się tam także w prace wykończeniowe nowo powstałej szkoły dla opiekunek. Oprócz tego wraz z wolontariuszką Natalią prowadziłyśmy lekcje angielskiego, geografii, biblijne oraz organizowałyśmy czas dzieciom w domach dziecka. Poza tym wspólnie organizowaliśmy konferencje, na których dzieci mogły usłyszeć Słowo Boże, otrzymać prezenty i jedzenie, którego nie mają na co dzień oraz uczestniczyć w przygotowanych dla nich zabawach.

Przez ten cały czas towarzyszyła mi myśl, że bardzo chciałabym podzielić się tym, co Jezus zrobił w moim życiu z kimś, kto jeszcze nie miał okazji poznać Go osobiście.



Najczęściej jednak przebywałam wśród chrześcijan i nie miałam zbyt wielu możliwości, by to zrobić. Miałam też obawy, że moja słaba znajomość języka angielskiego może tu być przeszkodą. Postanowiłam jednak oddać swoją troskę Bogu i pozwolić Mu użyć się taką, jaką jestem, wierząc, że i w tej słabości On okaże swoją moc.

Tak się złożyło, że nasz dom często odwiedzały dzieci z wioski. Wśród nich był dwunastoletni chłopiec, który bardzo się do nas przywiązał. My także bardzo go pokochaliśmy. Ibrahim służył nam swoją pomocą zawsze i wszędzie, chociaż nikt tego od niego nie oczekiwał. Nasi wolontariusze dbali o niego, m.in. kupili mu wyposażenie do szkoły i zabrali na safari. Inne dzieci także dostały prezenty. Pewnego dnia, przechodząc przez wioskę, zobaczyłam tego chłopca bawiącego się w sadzie palmowym. Zawołałam: „Ibrahim! Czy ty tutaj mieszkasz?”. Okazało się, że tak. Tuż za sadem znajdował się jego gliniany dom, w którym mieszkał wraz ze swoją mamą, braćmi i siostrami. Zwróciłam uwagę na jego siedmio-

letnią siostrę. Dziewczynka radośnie objęła mnie swoimi klejącymi się rączkami, ale zamiast coś powiedzieć, wydała z siebie tylko dziwne dźwięki.

Moi afrykańscy przyjaciele opowiedzieli mi potem o tej rodzinie. Ibrahim pochodził z muzułmańskiego domu. Jego tata umarł, gdy on był malutki, a mama nie wyszła ponownie za męża, ale każde ze swoich następnych dzieci miała z innym mężczyzną. Kobieta całymi dniami pracowała poza domem, starając się utrzymać rodzinę. Siostra Ibrahima wcześniej była zdrowa, ale dwa lata temu zapadła na jakąś chorobę, wskutek której przestała słyszeć i mówić. Zaczęła też cofać się w rozwoju. Lekarze nie potrafili stwierdzić, co jej jest i nie umieli jej wyleczyć.

Pomyślałam, że chciałabym porozmawiać z mamą tych dzieci. To nie było takie proste, bo ciężko było ją zastać w domu, poza tym ta kobieta również niezbyt dobrze знаła angielski. Zaczęłam się więc modlić o tę sprawę i pewnego dnia nasza sąsiadka zaproponowała mi, że umówi mnie i pójdzie tam ze mną i z Natalią jako tłumaczką. Poszliśmy więc razem, zabierając z sobą prezenty, w tym sukienkę, która według prośby koleżanki była przeznaczona dla jakiejś chorej dziewczynki. Świetnie się złożyło, bo ubranko pasowało na chorą siostrę Ibrahima.

Mama tych dzieci wysłuchała moich świadectw uzdrowienia i zaciekawiona zadawała pytania. Pozwoliła mi pomodlić się o uzdrowienie swojej córeczki i sama zaproponowała, żeby wszyscy wolontariusze modlili się o nią. O dziwo, Ewangelię i wiele z tych rzeczy, które mówiłam, potrafiłam w prostych słowach sama powiedzieć w języku angielskim. Jeśli nie znalazłam

właściwych słów, pomogła mi Natalia, a nasza sąsiadka, kiedy trzeba było, tłumaczyła na język rutooro. Podczas naszej rozmowy mama Ibrahima stwierdziła, że wierzy w Jezusa jako Boga i Zbawiciela. Spytałam jej zatem, czy chciałaby pomodlić się z nami i oddać Mu swoje życie i powierzyć Mu całą rodzinę. Zgodziła się i tak też uczyniliśmy.

Zdarzyło się pewnego ranka, że zapragnęłam pójść gdzieś daleko na łąkę i uwielbiać Pana Boga. Poszłam i zaczęłam się modlić. Po jakiejś chwili usłyszałam w oddali głosy dzieci. Pomyślałam, że nie chcę z nikim rozmawiać, bo nie taki był mój plan. Za chwilę jednak przyszła myśl: „A co, jeśli Bóg tego chce? W końcu jestem tu dla dzieci”. Za jakiś czas podeszła do mnie trzynastoletnia dziewczynka o imieniu Evans. Przywitała się ze mną i spytała, co robię. Odpowiedziałam jej, że mam spotkanie z moim Bogiem. Uśmiechnęła się do mnie i skwitowała, że czasem też rozmawia ze swoim. I wtedy zaczęła się interesująca dyskusja.

– Taak? To wierzysz w Jezusa? – spytałam.

– Nie, nie wierzę i nawet nie chcę go znać!!! – odpowiedziała.

Następnie powiedziała mi nieco o swoim „bogu”, nazywającym się Bisaka, który, jak się okazało, jest człowiekiem, starszym panem w wieku około 80 lat, posiadającym pięć żon i wiele dzieci, mieszkającym w sąsiednim dystrykcie. Jego wyznawcy czczą go jak prawdziwego Boga trzy razy w miesiącu podczas specjalnych spotkań. Z innych źródeł dowiedziałam się, że gdy był kiedyś katolikiem, uczynił podobno jakieś cuda i od tamtej pory trwa w zwiedzeniu, pociągając za sobą wielu ludzi.

Zasugerowałam Evans, że skoro jest człowiekiem, to na pewno kiedyś umrze, a mój Jezus żyje wiecznie i chce dać to życie wieczne wszystkim, którzy w Niego uwierzą. Opowiedziałam jej też o moim uzdrowieniu fizycznym. Zaproponowałam, że mogę się o nią pomodlić i poprosić, żeby Jezus jej pokazał, że On istnieje naprawdę i że nawet ona może odczuć Jego świętą obecność. Dziewczynka odsunęła się jednak ode mnie i znów powiedziała, że nie chce znać Jezusa, bo jest przekonana, że jej „bóg” jest prawdziwy i że nigdy nie umrze.

I wtedy zobaczyłam, że mała jest bosa. Zapytałam jej, gdzie ma buty i czy w ogóle jakieś ma. Odpowiedziała, że nie ma żadnych, bo jej rodzina jest biedna. Wówczas zdjęłam swoje buty i oddałam jej. Poprosiłam, by zawsze, kiedy na nie spojrzy, zastanowiła się nad tym, co jej powiedziałam. Rozstałyśmy się w dobrej atmosferze, a dziewczynka, szczęśliwa, pobiegła do domu.

Po południu moi przyjaciele z domu misyjnego powiedzieli mi, że ktoś mnie szuka i czeka na mnie przed domem. To była Evans z siostrą. Dziewczynki przyniosły mi z wdzięczności kilka owoców avocado ze swojego sadu. Serce mi stanęło. Nie mogłam uwierzyć, że te biedne dzieci, które dzień w dzień jedzą ten sam pokarm (posho i fasołę), przynoszą mi jeszcze prezenty. Cóż za wspaniałe serca! Nie mogłam nie przyjąć daru, bo wiedziałam, że sprawię im przykrość.

Zaprosiłam więc je na taras i poczęstowałam kanapkami z dżemem. Potem mieliśmy czas na rysowanie i na luźną rozmowę o naszych religiach. Dzięki temu, że była z nami Natalia, która świetnie mówi po angielsku, mogłam złożyć im moje świadectwo o tym, jak w szczególny sposób spotkałam Jezusa przy śmierci mojej mamy oraz Ewangelię, którą podparłam przykładem pewnego mężczyzny. Człowiek ten pracował

na kolei i musiał wybrać między śmiercią syna, a śmiercią ludzi jadących pociągiem.

Evans i jej siostra z uwagą słuchały tego wszystkiego i widać było na ich twarzach zamyslenie. Powiedziałam im, że jeśli ich „bóg” umrze, a one będą się zastanawiały, dlaczego, to zawsze mogą zwrócić się do Jezusa i poprosić Go, by im pokazał czy On istnieje naprawdę i czy jest prawdziwym Bogiem. Dziewczynki tym razem w zadumie przytaknęły mi głowami.

Dlaczego opisuję moje historie w tak szczegółowy sposób? Ponieważ chciałabym zachęcić każdego chrześcijanina do bycia gotowym do głoszenia Ewangelii w każdych warunkach. Miałam obawy, że przez moje braki w języku angielskim mogę nie sprostać temu zadaniu. Prawda jest jednak taka, że gdziekolwiek jesteś, kimkolwiek jesteś i cokolwiek potrafisz, zawsze możesz być użyty przez Pana Boga, jeśli tylko tego pragniesz.

Pragnienie szuka możliwości, a taką możliwość może i chce stworzyć ci sam Duch Święty. To On jest naszą siłą i tylko On może przekonać grzesznika o potrzebie Jezusa, ale do tego potrzebuje jednak naszego ochotnego serca i otwartych ust. Nie musimy się zatem niczego obawiać, bo potężny kochający Bóg jest z nami i On wie, jak nami pokierować.

Nawet jeśli nie od razu zobaczysz efekty swojego świadectwa o Bogu, możesz być pewny, że posiałeś dobre ziarno, które ma moc, by zmienić ludzkie życie. Może być też tak, że dopiero następna osoba po tobie będzie świadkiem cudownych jego owoców. Liczy się to, że głosisz, a często więcej od twoich słów powie innym o Jezusie twoje życie, twoja miłość do bliźniego i chęć pomocy.

Zatem życzę wszystkim i sobie więcej odwagi i chęci w niesieniu tej miłości, którą umiłował nas Jezus wszędzie tam, gdzie jest jej brak!

Witamy Was, drodzy bracia i siostry w Panu!

Z pomocą Bożą przetrwaliśmy zimę! Wiele cudów i błogosławieństw Bożych zobaczyli nasi bracia i siostry na terenach objętych akcjami wojskowymi, gdzie Pan uchronił nas od śmierci, od pocisków, od głodu i zimna. W województwach donieckim i ługańskim zginęła jedna siostra w trakcie ostrzału artyleryjskiego miasta Ługańska. Tu też został ranny jeden brat i kilka sióstr w Mariopolu.

80-letnia siostra powiedziała tak: „Od ośmiu miesięcy nie dostaję emerytury ani innych dotacji od władz, ale nigdy nie zabrakło mi chleba i zupy. Pan o mnie nie zapomniał!”

Jesienią bracia wykazali się troską i na czas zakupili węgiel dla tych, którzy palą nim w piecu. Zdążyli przed wzrostem cen, do którego doszło w związku z zamknięciem wielu kopalni. I cieszyli się, kiedy w zimowe chłody w piecu palił się ogień, a serca wielu naszych braci i sióstr, wielodzietnych ojców i matek, były spokojne, że jest opał i pokój Boży panuje w naszych domach.

Jesienią była też możliwość przekroczenia punktów kontrolnych i bracia zdążyli dostarczyć tu żywność – ofiarę złożoną przez kochających Pana – z różnych okolic kraju i różnych państw. Ktoś ofiarował pieniądze, żywność, a ktoś zaoferował dowóz do odpowiednich miejsc. Wystarczyło, aby skromnie, ale pewnie przetrwać zimę.

Używając swojego ludu, Bóg zatroszczył się o dzieci, które cierpiały biedę. Chwała

Wielkiemu Bogu! Chrześcijanie troszczyli się również o osoby niewierzące.

Przetrwaliśmy zimę i jesteśmy z całego serca wdzięczni tym, którzy uczestniczyli od początku w planie Bożej pomocy w trudnym dla Donbasu czasie i uczestniczą do tej chwili.

Zbliżają się trudne czasy dla mieszkańców Ukrainy. Nie wiemy nic na temat politycznej sytuacji w naszym kraju ani kolejnych akcji wojennych. Jedno jest pewne, iż przyszedł rok będzie „rokiem głodu” dla całej Ukrainy, a zwł. dla Donbasu. Nie można tu wykonywać prac rolniczych, gdyż pola są zaminowane.

Jeszcze 2 lata temu my, pastory, odradzaliśmy naszym braciom i siostram z miast zajmowania się bezowocnymi pracami na działkach, ze względu na kradzieże i brak wody. Teraz, w obecnej sytuacji, zachęcamy, by każdy, kto ma ziemię, zasiewał ją i obsadzał. Prosimy o pomoc naszą młodzież, by pomagała starszym w tych pracach, by żaden kawałek ziemi nie został pusty. Może Bóg pobłogosławi nam w tej pracy i odniesiemy sukces. Módlcie się, prosimy, aby Bóg dał wzrost wszystkiemu, co zasialiśmy, a także pozwolił na zebranie plonów.

Mamy duży problem z dostarczeniem wody na niektóre terytoria w woj. donbaskim. W trakcie intensywnych akcji wojennych został uszkodzony potężny świetliczański wodociąg, z którego woda była dostarczana do kilku miast województwa



ługańskiego. Obecnie woda pojawia się tam co 4 dni, w nocy, ale też niesystematycznie. Bywa, że ludzie nie mają wody do ośmiu dni. Remont wodociągu jest zaplanowany po zakończeniu wojny. Był wyremontowany raz, ale posłużył krótko: do kolejnego ostrzału.

Na tym obszarze mieszka 11 wielodzietnych rodzin mających możliwość wywiercenia studni na swoich podwórkach. Ale jest to niezwykle drogie przedsięwzięcie i są na to potrzebne pieniądze.

W szkołach i wyższych uczelniach nauczyciele nie otrzymują wypłat. Jednak prowadzą zajęcia i mają nadzieję, że pewnego dnia otrzymają swoje wynagrodzenie.

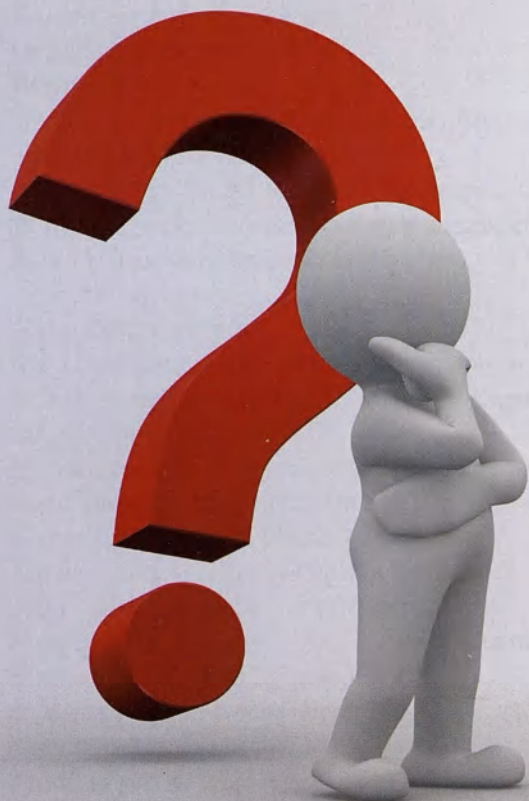
Nie ma pracy. Średnie i małe przedsiębiorstwa są zniszczone, w związku z tym pojawiła się potrzeba poszukiwania pracy, a co za tym idzie, przeprowadzek dla rodzin, które wychowują dzieci. Módlcie się, prosimy, i w tej sprawie, gdyż nie wiemy, czy trzeba się przeprowadzać, dokąd, i skąd na to wziąć pieniądze.

Faktem jest, iż Kościół wzrasta duchowo w trudnościach. Doświadczamy na co dzień, iż najwyższą wartością w naszym ziemskim życiu jest Pan. Uczymy się na nowo modlić, wczytujemy się w Słowo, pokutujemy, spowiadamy się, poważniej patrzymy na sprawę usługiwania w Kościele i ewangelizacji w nowych warunkach. A ewangelizacja teraz wygląda tak: nakarm, ogrzej, a później mów. Nie mamy lekarstw ani pieniędzy, tylko Bóg jest naszą nadzieją. Chwała Bogu, który jest niezawodną nadzieją! On nigdy się nie spóźnia.

Dla wielu braci i siostr z Donbasu nadzieja w Chrystusa stała się codziennością. Bóg powiedział, że nas nie porzuci. I my doświadczamy tej prawdy. Z wielką wdzięcznością modlimy się i dziękujemy Panu za jego troskę okazaną przez Was, drodzy przyjaciele. Dziękujemy Bogu za Waszą ofiarność i znaki miłości, które mamy na naszych stołach i w naszych domach. Niech Bóg błogosławi Was, drodzy bracia i siostry w Jezusie Chrystusie!

PANIE, DLACZEGO WCIAŻ TRZEBA SIĘ ZMUSZAĆ?

NIE CHCE MI SIĘ...



*Panie,
dlaczego wciąż trzeba się zmuszać?
Nie chce mi się...*

*Nie chce mi się wstawać
i nie chce mi się kłaść spać.
Nie chce mi się chodzić do pracy
albo do szkoły.
Nie chce mi się sprzątać
ani prasować bielizny.
Nie chce mi się gasić telewizora
i wykonywać swoich obowiązków.
Nie chce mi się milczeć
ani mówić.
Nie chce mi się go odwiedzać,
podawać mu ręki
ani nawet do niego uśmiechać.
Nie chce mi się go ścisnąć i całować.
Nie chce mi się wyświadczać przysługi,
angażować się
ani iść na to zebranie.
Nie chce mi się stawiać oporu,
gdy wzywają boczne ścieżki
odchodzące od mojej Drogi*

*i nie chce mi się tłumić tych złocistych obrazów
pojawiających się bez przerwy
na ekranie moich marzeń.
Nie chce mi się walczyć z czasem,
zatrzymywać się,
zastanawiać,
rozważać Twojego słowa
i nie chce mi się modlić do Ciebie.*

*Panie,
dlaczego wciąż trzeba się zmuszać,
żeby co dzień żyć*

*tak jak Ty chcesz, abyśmy żyli?
To wcale nie jest łatwe,
To wcale nie jest wesołe.
Tak często mam ochotę zrobić coś,
czego nie powinienem robić,
a ledwo mi się chce zrobić to,
co trzeba!*

*Panie,
czy to prawda, że wciąż trzeba się zmuszać
kiedy wcale się nie ma na to ochoty?!*

*Mój mały, powiada Pan,
to prawda,
że ziarno musi być co dzień podlewane,
aby wydało drzewo,
że matka musi cierpieć, aby urodziło się dziecko,
a rodzice, aby je wychować
na człowieka pełnej miary,
że piekarz musi pracować nocą,
aby wyrobić chleb,
a robotnicy ciężko pracować przy taśmie,
aby jeździł samochód,
nawet jeśli wcale nie mają na to ochoty.*

*To prawda,
że uczeni muszą prowadzić długotrwałe badania,
aby wynaleźć lekarstwo, które leczy,
że ludzie muszą poświęcać swoje życie,*

aby nadeszła sprawiedliwość
i że zakochani muszą umierać co dzień
dla swoich egoistycznych pragnień,
aby ich miłość żyła
nawet jeśli wcale nie mają na to ochoty.
Bo gdzie byłaby twoja godność, mój mały,
twoja piękna wolność
i twoja zdolność kochania,
gdyby Ojciec dał ci gotowe drzewo i dziecko,
i upieczony chleb podany na stole,
i lekarstwo ratujące życie bez wszelkich możliwych
błędów popełnionych przy jego poszukiwaniu,
i wszechświat niby raj dla spokojnej ludzkości,
i rozkwitłą miłość
bez ryzyka, że zwiędnie?
Trudno jest być człowiekiem
i trudno jest kochać.

Wiem o tym.

Wcale nie miałem ochoty w wieku trzydziestu lat
wstępować po stopniach Kalwarii,
lecz mój Ojciec życzył sobie, aby całe moje życie
za was wszystkich zostało ofiarowane.

A Ja, Ja was kochałem, moi bracia,
i jeśli zmusiłem się,
aby wstąpić na krzyż,
to po to, aby wszystkie wasze wysiłki pewnego dnia
zostały uwieńczone ŻYCIEM.

Idź, mój mały,

Nie zastanawiaj się czy masz ochotę zrobić to czy tamto,
zastanów się raczej, czy Ojciec życzy sobie tego
dla ciebie i dla twoich braci.

Nie prosź Mnie o siłę, abyś się mógł zmuszać,
poproś Mnie najpierw o miłość, abyś kochał
ze wszystkich swoich sił

i swojego Boga, i swoich braci,

bo jeśli byś kochał trochę więcej,

cierpiał byś o wiele mniej,

a jeśli byś kochał dużo więcej,

z Twojego cierpienia wytrysnęłaby RADOŚĆ,

a wraz z nią ŻYCIE.

Pan moją nadzieją

– Nasz syn będzie księdzem! – ucieszyliśmy się, gdy nasz syn Szymon postanowił po maturze wstąpić do seminarium, aby przygotowywać się do stanu duchownego.

Byliśmy typową rodziną uczęszczającą do tradycyjnego kościoła. W końcu tak zostałam wychowana, ja i mój brat. Nasi rodzice byli bardzo religijni, dbali więc o to, by nas wychować w tym samym duchu. Ważne było chodzenie do kościoła, przestrzeganie dekalogu, nakazów kościelnych, postów, przystępowanie do spowiedzi. Myślałam, że to wystarczy, aby podobać się Bogu. Uważałam, że przestrzegając tych praktyk, będę prawdziwą chrześcijanką.

Nie było u nas zwyczaju czytania Pisma Świętego, bo myśleliśmy, że to jest zarezerwowane tylko dla księży. Na lekcjach religii też nas nie uczono, jak korzystać z Biblii. Wprawdzie mieliśmy ją w naszej bibliotece, lecz wyjmowało się ją i kładło na stół tylko podczas wizyty duszpasterskiej. Czynione to było tylko po to, by niejako uwiarygodnić naszą przynależność do kościoła.

Po wyjściu za mąż było tak samo. Byliśmy rodziną tak samo religijną i wypełniającą to wszystko, co według naszego rozumienia należało wypełniać, aby być wobec Boga w porządku. Wzrastając w takiej rodzinie, nasz syn Szymon, widząc religijność nas, rodziców, oraz religijność dziadków, postanowił zostać księdzem. Jednak Bóg zaaranżował dla niego inny scenariusz.

Był 2 maja 2005 r., kiedy nasz syn oznajmił, że nie przyjmie święceń diakonatu, musi się jeszcze zastanowić i w związku z tym weźmie urlop dziekański. Jak powiedział, tak zrobił i w trakcie tego urlopu wyjechał na rok do Londynu, gdzie mieszkała moja siostra. Ja również tam jeździłam – do siostry i syna.

Będąc u siostry, zetknęłam się z kościołem całkowicie odmiennym od znanego mi dotychczas. Ten kościół żył Ewangelią. W każdy wtorek u mojej siostry odbywały się spotkania grupy modlitwowej, na których było rozważane Pismo Święte oraz miało miejsce uwielbianie Boga w hymnach i psalmach. W kościele, do którego chodziłam wraz z siostrą i szwagrem, panowała bardzo miła atmosfera. Wszyscy zaraz przy wejściu witali mnie, uśmiechali się, chcieli rozmawiać.

Tam nie było się anonimowym. Czułam, że będąc w tym kościele, jestem we właściwym miejscu. W trakcie pobytu u siostry byłam tam kilkakrotnie. Pomagałam nawet w kuchni, gdy było organizowane spotkanie dla samotnych matek, dla ludzi cierpiących na depresję czy też dla bezdomnych Polaków. Byłam tym wszystkim zafascynowana.

Po powrocie do kraju i zakończeniu urlopu dziekańskiego syn wrócił do seminarium, ale po prostu dokończył studia, broniąc się jako magister teologii. Nie został księdzem, co bardzo przeżywaliśmy z mężem, ale Bóg miał inne plany dla niego i dla nas. Po skoń-

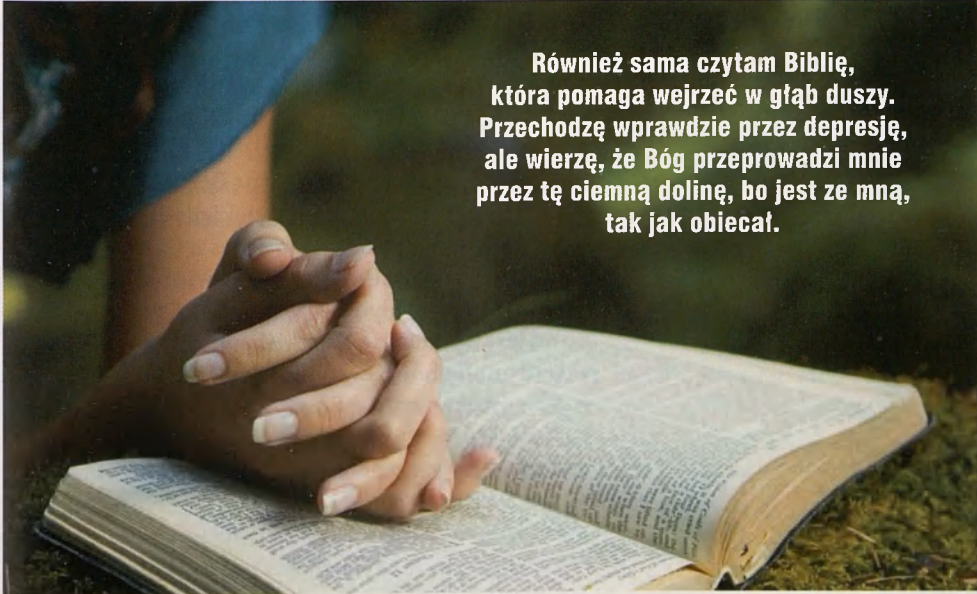
czeniu studiów syn wyjechał ponownie do Londynu. Zaczął pracę, a w 2009 roku wziął ślub z Dorotą, koleżanką z tego samego osiedla i parafii. Teraz mają dwójkę dzieci, a my dwójkę wnuków: Zosię i Antosia.

Ktoś mógłby pomyśleć, że szkoda było tych studiów, skoro i tak nie dały one pierwotnie zamierzonego rezultatu. Ale nie wiemy, co mogłoby wydarzyć się później. To wie tylko Bóg, a On mówi w Piśmie Świętym: *Myśli moje nie są myślami waszymi, a drogi moje nie są drogami waszymi.* Widocznie to było najlepsze dla naszego syna i dlatego tak się potoczyło jego życie. Jestem wdzięczna Bogu za wszystko.

Sz szczególnie jestem wdzięczna Bogu za to, co miało miejsce w styczniu 2014 roku. Dzięki temu znalazłam szczególne miejsce i ludzi odrodzonych duchowo, których teraz mogę nazywać braćmi i siostrami. A więc w styczniu 2014 r. na moim oddziale szpitalnym – jestem pielęgniarką – leżała pacjentka uczęszczająca do Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej. To był spokojny dyżur nocny. Jedna z pacjentek, młoda

kobieta, przyniosła nam do poczytania prasę leżącą na oddziale. Wśród różnych pozycji była też tam „Samarytanka”. Przeczytałam w niej, że w naszym mieście ma się odbyć konferencja dla kobiet. Zadzwoniłam pod numer kontaktowy, który był tam podany i okazało się, że rozmawiam z lekarką, a więc osobą bliską mojej profesji. Zaprosiła mnie do zboru, do którego uczęszczała. Tak znalazłam się w zborze, do którego uczęszczęm obecnie już trzeci miesiąc. Gdy znalazłam się tam po raz pierwszy, byłam pod wrażeniem tego, jak można poznawać Boga, wielbić Go w pieśniach, psalmach i w drugim człowieku. Czuję się tu wspaniale, panuje tu taka miła, rodzinna atmosfera.

A na konferencję dla kobiet zaprosiłam także moją koleżankę Iwonkę, która była bardzo zadowolona z tego spotkania. Nie wiem, co jeszcze Pan ma dla mnie, ale czuję, że nie był to przypadek, że Bóg tak pokierował moim życiem, że mogłam spotkać na swej drodze ludzi prawdziwie wierzących, odrodzonych duchowo i kościół, gdzie mogę karmić się Słowem Bożym.



**Również sama czytam Biblię,
która pomaga wejść w głąb duszy.
Przechodzę wprawdzie przez depresję,
ale wierzę, że Bóg przeprowadzi mnie
przez tę ciemną dolinę, bo jest ze mną,
tak jak obiecał.**

Krynica mojego życia



Zgodnie ze Słowem Bożym, że nie powinniśmy zapominać o tym, co Bóg dla nas zrobił i żeby wspominać Jego czyny i dzieła, i ja pragnę przypomnieć sobie na nowo, jaką łaskę okazał mi Bóg, kiedy mój synek ciężko zachorował w 2011 roku. Był intubowany, bez żadnych szans na przeżycie – rzadka choroba metaboliczna. Dla mnie i mojej rodziny to był szok.

Pawełek miał wtedy pół roczku. Ja radowałam się w tym czasie z pomocy naszego lekarza Pana Jezusa, że urodziłam zdrowego chłopczyka, dostał 10 punktów, a miałam złe prognozy, co do zdrowia dziecka zanim go urodziłam. Teraz następny cios. Diagnozy, znane i nieznane mi nazwy: zespół Reye'a niewydolność krążeniowa, udar, zapaść, śpiączka farmakologiczna, LCHAD itd.

W tym wszystkim był ze mną Bóg. Mój synek przeżył dzięki Bogu, ale również dzięki modlitwom innych ludzi wierzących w moc Pana Jezusa. Dziękuję wszystkim, którzy trwali ze mną w modlitwie o mojego synka. Były to osoby pojedyncze, rodziny a także zbory. Trudno mi jest wymienić wszystkich, m. in.: zbor KZ „Betel” w Ustroniu, zbor KE-A w Wiśle Malince, zbor KECH w Bydgoszczy, zbory w Szczecinie, a także wiele innych zborów, których nazw nawet nie znam. Zrozumiałam, co to znaczy wspólnota modlitwy i jak jest ona ważna w obecnych czasach. Rozszerzył mi się zakres rozumienia wiersza z Dz. Ap. 2,42: *I trwali w nauce apostołskiej i we wspólnocie, w łamaniu chleba i w modlitwach.*

W styczniu 2015 roku Pawełek skończył cztery latka. Przez ten okres mogłam widzieć, że Pan Bóg jest z nim. Po przebyłym udarze mózgu, zapaści krążeniowej nie ma śladu. Wprawdzie cierpi na chorobę metaboliczną, ale nauczyliśmy się pilnować diety oraz systematycznych badań.

Najbardziej cieszy mnie to, że chodzi teraz do przedszkola i na szkółkę niedzielą. Podoba mi się, że rodzice otrzymują informację o tym, co było tematem lekcji ze szkółki niedzielnej (zostało to zaprowadzone w formie zeszytów). Dzięki temu mogę synka uczyć i powtarzać z nim to, co było na szkółce oraz uczyć wierszy z Biblii. Najważniejsze jest to, że od najmłodszych lat może on uczyć się o Bogu. Przypominam mu, że „Bóg jest miłością”, „Pan jest moim (jego) pomocnikiem”.

Często rozmyślam nad Imionami Boga, nad Jego atrybutami np. Dobry Pasterz, Mój Lekarz, Lekarz Mojej Rodziny, Pocieszyciel, ale obecnie przeżywam Pana Jezusa i rozmyślam nad nowym Imieniem mojego Boga i Jego charakterem: Krynica Życia.

Swój wzrok kieruję do Księgi Objawienia, do listu skierowanego do zboru w Laodycei i myślę, że tam ukryty jest obraz Pana Jezusa. To On w trudnych chwilach zimną wodą mnie orzeźwia, daje ochłodzenie w duchowym życiu, a gorącym źródłem leczy i daje ukojenie w bólu. Tak, dla mnie Krynica Życia, Źródłem Wody Żywej, Schronieniem, Skałą jest Jezus Chrystus. On jest dla mnie miejscem odpocznienia.

Zawsze chciałabym, żeby w różnych sytuacjach życiowych moim schronieniem i odpocznieniem był Bóg Wszechmogący i żeby to On pomagał mi w walce z wrogami. Lubię książkę Lindy Dillow „Błogosławieństwo w Dolinie Łez” i tam znajduję słowa: „Jakiego wroga ty napotykasz dzisiaj? Twoim wrogiem może być osoba, ale może nim być również niepokój, depresja, strach czy rozpacz. Kiedy jesteśmy atakowane przez wroga, odruchowo skłonne jesteśmy uciekać w coś lub do kogoś, zamiast do Boga. Psalm 46 głosi, że tylko Bóg jest naszym schronieniem.. „Jest jak forteca, do której możemy uciec, jest źródłem wewnętrznej siły, którą możemy przeciwstawić się każdej próbie”.

Z wdzięczności do mojego Boga i zgodnie ze Słowem Bożym, żeby nie zapomnieć nigdy tego, co On dla mnie zrobił i nadal dzisiaj czyni, pragnę wrócić wspomnieniami do tego, co otrzymałam od Niego w 2011 roku. Moja dusza dziękuje Tobie, Boże, za wszelkie dobrodziejstwa, które otrzymałam od Ciebie i że mogłam poznać Ciebie jako Boga pełnego łaski i dobrodziejstwa dla mnie i mojej rodziny.

Nie miałam wiele szczęścia



Nie miałam wiele szczęścia. Nie urodziłam się w rodzinie, która kochała Boga i szła Jego drogą. Nie wiem nawet, czy byłam oczekiwanym dzieckiem. Ale na pewno byłam dzieckiem, które przypominało swojej matce o popełnionym błędzie – byłam owocem zdrady małżeńskiej.

Z dzieciństwa pamiętam moją babcię, która pomimo wielu tragedii nie straciła miłości i szacunku do ludzi, moją wiecznie zapracowaną mamę, z poranionymi ostrą przędzą palcami, która wciąż powtarzała, że praca jest największą wartością człowieka i pijanego ojczyma, który biciem próbował zdobyć mój szacunek i miłość, a kiedy brał mnie na kolana i przytulał, nie czynił tego z ojcowskiej miłości.

Wyrządzone mi wiele zła, ale i ja krzywdziłam ludzi wokół siebie. Moja mama miała z mojego powodu wiele nieprzespanych nocy. Dopóki uczyłam się, było prawie dobrze: dużo czasu spędzałam w klubie sportowym, grałam w teatrze i kabarecie, pisałam wiersze. Żle zaczęło się dziać, kiedy znalazłam pracę. Pracowałam ciężko i miałam dużo pieniędzy. Wynajęłam mieszkanie,

wyprowadziłam się z domu. Moi znajomi zostali zastąpieni przez nowych znajomych. Zaczęłam pić, pojawiali się w moim życiu nowi mężczyźni. W końcu zaczęłam brać narkotyki. Wtedy też zabiłam swoje pierwsze nienarodzone dziecko.

**I wtedy Bóg dotknął mnie
po raz pierwszy.
Kiedy coraz bardziej
pograżałam się i tonęłam
w ludzkim bagnie,
Bóg pokazał mi
umierającego narkomana.
Zrozumiałam, że chcę żyć.**

Zaczęłam się leczyć. W ośrodku poznałam ojca mojej córki – on też był pacjentem. Na świecie pojawiła się Anna Maria. Stanowiliśmy rodzinę, ale nie było w niej Boga. Ojciec Ani zaczął pić, coraz częściej podnosił na mnie rękę. Nie chciałam tak żyć, nie tak miał wyglądać świat mojego dziecka.

Zagroziłam mu, że jeżeli się nie zmieni, odejdę. Zaczął leczenie i wkrótce zmarł. Okazało się, że zaczął brać ponownie narkotyki.

Zostałam sama z dzieckiem. Musiałyśmy z Anią opuścić dotąd zajmowane mieszkanie. Zaczęłam wynajmować wciąż nowe mieszkania i ciężko pracować. Nigdy nie bałam się ciężkiej pracy. Moja mama nigdy nie wierzyła, że mi się uda. Teraz myślę, że zawsze pragnęła, abym wróciła do domu.

Wciąż szukałam miłości. Bardzo pragnęłam, aby mnie ktoś pokochał. Poznawałam wielu ludzi, ale to nie było to, czego szukałam. I wtedy Bóg dotknął mnie po raz kolejny. Mój szef zamykał firmę, w której pracowałam jako sekretarka i grafik komputerowy. W tym samym czasie moi znajomi zaproponowali mi wspólną pracę w tworzeniu ośrodka dla kobiet na Dolnym Śląsku. Zgodziłam się na ich propozycję.

Ania miała wtedy sześć lat. Życie powoli przeciekało mi przez palce. Tęskniłam za miłością, a żaden z moich romansów nie zaspokajał tego pragnienia. I Bóg wtedy dotknął mnie ponownie.

Pod koniec 2003 roku zachorowałam na raka piersi. W styczniu 2004 roku w czasie operacji okazało się, że choroba zaatakowała również węzły chłonne i trzeba usunąć nie tylko pierś, ale również węzły chłonne z prawej ręki.

Rozpoczęłam chemioterapię. I wtedy spotkałam ludzi chodzących z Bogiem:

Zbyszka i Bogusię Hanaczewskich, Zbyszka Wierzychowskiego. Widziałam ich radość, bezinteresowność i miłość. Światło, które nie oślepiło, ale w którym można się było ogrzać. Jednak i wtedy nie myślałam o Bogu jako twórcy tego dzieła.

Wysłałam za mąż. Teraz myślę, że bardziej z lęku przed samotnością – miałam przecież czterdzieści dwa lata. Mój mąż zaczął pić, a za swoje dawne przestępstwa trafił do więzienia. Znajomi odsunęli się ode mnie i zostawili samą. Straciłam pracę, którą kochałam. Tylko społeczność kościoła stała przy mnie. Nie oceniali – po prostu byli. Wróciłam do rodzinnego miasta. Tam odszukałam kościół, zaczęłam przychodzić na nabożeństwa. Bóg mnie przemieniał. Nawet moja mama – osoba bardzo zasadnicza i rzadko ustępująca – zmieniła godzinę niedzielnego obiadu.

I wtedy Bóg do mnie przemówił. W trakcie nabożeństwa w czasie, którego kilka osób z naszego zboru przyjmowało chrzest, wstałam i oświadczyłam, że chcę iść z Bogiem, że Jezus Chrystus jest moją Drogą, Prawdą, Życiem.

Minęło już trochę czasu od tej chwili. Moje życie nie stało się lepsze, nabrało po prostu innej wartości. Nadal popełniam błędy, nadal grzeszę, ale teraz już wiem, że jest Ktoś, kto kocha mnie najbardziej na świecie, dla którego jestem najważniejsza. To Bóg i wiem, że zrobię wszystko, by tej miłości nie stracić.

Wspaniałość Bożego stworzenia

Bardzo lubię oglądać przyrodę, podziwiać jej piękno i różnorodność. Pewnego razu w trakcie kontemplowania jej piękna, niesamowitej urody kwiatów, uświadomiłam sobie, że to wszystko uczyniła ręka mojego Pana, że to Bóg tak pięknie wyrysował i wyźłobił. To On dał kolor, wygląd czy zapach wszystkim twórcom przyrody, a ja, będąc tu na ziemi, mogę tego dotykać i odbierać swoimi zmysłami, to wszystko, co On uczynił. Odkąd tak namacalnie to sobie uświadomiłam, czuję się tak, jakbym spacerowała po ogrodzie Eden.

Zaczęłam zwracać uwagę na piękne kształty różnych drzew, kwiatów, na pracę mrówek, lot ptaków i w ogóle życie zwierząt. To wszystko są cuda Boże, które możemy oglądać własnymi oczyma. Wystarczy spojrzeć na kilka różnych liści np. dębu, klonu, jesionu czy brzozy. To niesamowite, jak piękny jest kształt każdego z nich. To nie jest bezmyślny twór, ale precyzyjne dzieło naszego wspaniałego Mistrza.

Słowo Boże mówi: *Niewidzialna Jego Istota, to jest wiekuista Jego moc i bóstwo mogą być od stworzenia świata oglądane w dziełach i poznane umysłem* (Rz 1,20) lub *Podnieście ku górze wasze oczy i patrzcie kto to stworzył* (Iz 40,26). Tak więc to nakaz Boży, aby przypatrzeć się Jego dziełu, nie tylko spojrzeć, ale zatrzymać się i przypatrzeć. A kiedy przypatrzymy się tym wszystkim twórcom: górcom, morzom, obłokom, przeróżnym roślinom i zwierzętom, nie mówiąc już o galaktykach czy poszczególnych planetach — jest rzeczą niemożliwą, aby z głębi naszej duszy nie popłynęła chwała dla naszego Stwórcy. Do chwalenia Boga wystarczy spojrzeć z refleksją na wszystko, co nas otacza, z czym mamy do czynienia na co dzień.

Jeśli przechodzimy obok stworzenia Bożego obojętnie, to nie oddajemy chwały Stwórcy, który jest Mistrzem nad mistrzami, nie mającym równego sobie. Wyobraźmy sobie, że jakiś artysta wystawia swoje dzieła, a widzowie nie poświęcają im należytej uwagi, przechodzą obojętnie. Jak może się on czuć?

Chciałabym wszczepić to w serduszka moich wnuków i prawnuków, aby nie były obojętne na niesamowite dzieła Boże, ale by przypatrywały się, jak nakazuje Słowo Boże i by uwielbiały Boga, jak wielbili Go autorzy ksiąg biblijnych.

Dobrze będzie, jeżeli my wszyscy, wierzące mamy i babcie, dołożymy starań, by zwracać uwagę naszym dzieciom i wnukom na te wielkie cuda Boże, które spotykamy na każdym kroku — tak by dzieci przypatrzyły się im i dostrzegły niezwykłość w pozornej zwyczajności wszystkiego, co Bóg stworzył i by również chwaliły Go za to. Wszędzie możemy uwielbiać Boga za to, co widzimy — na spacerze, w ogrodzie, w lesie, gdziekolwiek się znajdujemy. Życzę wszystkim radości i głębokich przeżyć z Panem.



W tym roku świętowaliśmy piękny jubileusz - czterdziestą rocznicę zawarcia naszego związku małżeńskiego. Dla par, które dopiero rozpoczynają wspólne życie, to z pewnością okres trudny do wyobrażenia, zaś dla tych, które mogą poszczycić się równie długim stażem, moje rozważania, być może, okażą się podobne do ich własnych ze względu na warunki i rzeczywistość, w jakiej przyszło nam rozpoczynać wspólną drogę.



Nasze wspólne czterdzieści lat

Moim pragnieniem jest, żeby wszyscy, którzy zapoznają się z tymi wspomnieniami, odczytali je jako refleksje o mocy, miłości i trosce naszego Pana, który gotów był torować drogę dwojgu bardzo młodym ludziom, prawie zupełnie nieświadomym tego, czym jest małżeństwo.

W tamtych latach, gdy się pobieraliśmy, nikt z przełożonych społeczności, w której wzrastaliśmy, nie uczył młodej pary, czym jest wspólne życie. Wystarczyło, że pochodziliśmy z tego samego środowiska chrześcijańskiego i bycie osobą wierzącą miało stanowić gwarancję szczęścia i powodzenia. Oddanie życia Panu Jezusowi w młodym wieku uchroniło nas od grzesznego życia i wielokrotnie dziękowaliśmy Bogu, że rozpoczynaliśmy wspólną drogę jako kochający Go ludzie. Wkrótce jednak okazało się, że potrzebne nam były także rady i wskazówki dotyczące zwykłego życia, by właściwie reagować, mówić i budować codzienność, która zwłaszcza dla mnie okazała się bardzo trudna.

Pochodzimy z zupełnie innych środowisk, wychowani zostaliśmy przez inny „rodzaj” matek. Kiedy więc po wyjściu za mąż zmieniłam miejsce zamieszkania i pracy, a na dodatek byłam dość daleko od swojej rodziny, rozpoczęły się kłopoty.

Mąż ze swojego domu rodzinnego wyniósł inny obraz kobiety – silnej fizycznie i psychicznie, bo taką była jego mama i siostry. Mój rodzaj wrażliwości był niezrozumiały dla niego, denerwował go sposób postrzegania przeze mnie rzeczywistości i podejście do niektórych spraw. Wydawało się, że nasze zakochanie nie wystarczy do pokonania trudności, jakie napotykał się.

Nasiliły się moje kompleksy, zamykałam się coraz bardziej w sobie i nienawidziłam swojej wrażliwości. Uznawałam ją za przyczynę moich słabości i braku porozumienia z mężem. Chwała Panu, że On rozumiał nas doskonale i wskazał drogę, jak wychodzić z problemów! Mojemu mężowi ogromnie zależało na tym, bym pozbyła się swoich kompleksów. Nie zawsze jednak w początkowym okresie naszego małżeństwa potrafił wskazać mi właściwą drogę, bywało więc, że sposób, w jaki starał się mi pomóc, tylko nasilał moje zahamowania.

Nie zostaliśmy jednak sami w zamkniętym kręgu niemożności. Jestem wdzięczna mojemu Bogu głównie za to, iż po pierwsze, dał mi wytrwałego męża, który nie zrezygnował z walki o mnie, po drugie zaś, poszerzał nasze patrzenie na otaczającą nas rzeczywistość.

Mieliśmy ogromną potrzebę głębszego poznawania chrześcijaństwa i uczenia się prawd biblijnych w sposób dotychczas nam nieznany. Dzięki publikacjom, jakie się ukazywały, nauczyliśmy się także rodzinnego i małżeńskiego życia, a konferencje organizowane przez przywódców naszego kościoła rozszerzały nasz punkt widzenia i przygotowywały do służby.

W moim życiu niezmiernie ważną rolę odegrały konferencje dla kobiet w Ustroniu. Gdy w raciborskim zborze dzieliłam się świadectwem naszego wspólnego czterdziestolecia, mówiłam między innymi, iż chyłę czoła przed Tatianą Hydzyk, która te zjazdy dla nas organizowała. Imponowała mi odwagą, szczerością i otwartością. I jeszcze jednej rzeczy nauczyłam się podczas tych konferencji, mianowicie tego, iż nie ma kobiet doskonałych. Są zaś takie, które o swoich słabościach potrafią mówić i wypowiadać im skuteczną walkę.

Z przykrością zauważyłam, iż nie wszystkie znane mi osoby chciały podejmować walkę o swoje małżeństwo. Niektóre wybierały rozstania lub rozwody. Zwłaszcza jeden taki przypadek mocno przeżyłam. Mąż znanej mi dobrze kobiety opuścił ją, a żeby nadać tej decyzji cechy duchowości, w swojej Biblii umieścił krzyż i datę, kiedy przestał ją uznawać za żonę. Mocno to przeżyłam, rzuciłam się w objęcia mojego męża i dziękowałam mu, że nigdy ze mnie nie zrezygnował!

Jestem niezmiernie wdzięczna mojemu mężowi za walkę, jaką razem stoczyliśmy, bym poznała swą prawdziwą wartość w Chrystusie i pozbyła się kompleksów.

Nie mam cech przywódczych, nigdy nie lubiłam stać w przodzie, ale stoczyłam zwycięski bój o właściwe pojmowanie siebie i swojej natury. Myślę, że owocem tej walki jest swoiste przekucie zbędnego lemiesza, za jaki uznawałam swą wrażliwość na miecz, którym pomagałam służyć mojemu mężowi.

Może brzmi to nieco filozoficznie, ale takie określenie wydaje mi się dziś najwłaściwsze. Moja spostrzegawczość połączona z umiejętnością rozumienia ludzi stała się pomocnym narzędziem w służbie, którą pełniliśmy w naszym mieście ponad dwadzieścia lat. Czasem, gdy oglądałam znane osoby w telewizji, wyobrażam sobie, iż jestem wśród nich i stoję na zwycięskim podium, choć nie mam ich urody, sławy i bogactwa. Mam za to wspaniałe świadectwo zwycięskiego małżeńskiego życia i tym ich przewyższam.

Nie przypisuję żadnych zasług ani sobie, ani mężowi, ale zawsze łasce i miłości naszego Pana, który nam pomaga. Dziś nasze wzajemne oddanie i bliskość mogą być świadectwem dla młodych par, którym gotowi jesteśmy służyć radą i pomocą, chwając przy tym i wywyższając Jego Imię.





Przepisy Samarytanki

Adżika (do chleba, do kanapek)

Składniki:

- 2,5 kg pomidorów
- ½ kg marchewki
- ½ kg jabłek
- ½ kg papryki
- ½ szklanki octu
- ½ szklanki cukru
- 1 szklanka oleju
- ½ opakowania papryki słodkiej
- 10 dkg czosnku

Sposób wykonania:

Wszystko zmielić na małym sicie w maszynce do mięsa (lub na Thermomixie). Gotować 20 min. Dodać ocet, cukier i olej oraz słodka paprykę. Gotować jeszcze 20 minut.

Następnie dodać czosnek i gotować jeszcze 10-15 minut. Dodać do smaku soli. Gorące nakładać do słóiczków, odwrócić do góry dnem.



Smacznego!

W następnym numerze:

Jak Bóg zresetował moje życie

Elissa, była matką sześciorga dzieci, przeszła w życiu wiele różnych doświadczeń, i była zadowolona z życia aż do czasu gdy w wieku 43 lat nastąpił trudny czas dla jej rodziny. W wyniku niepowodzenia w firmie, którą prowadzili z mężem utracili dom i musieli przeprowadzić się z miasta na wieś. To spowodowało, że utraciła radość życia, jej

najstarsza córka, największa podpora w domu, właśnie wyszła za mąż, a na dodatek zaczęły się u niej pierwsze, nieprzyjemne symptomy zbliżającej się menopauzy. Prosiła Boga o pomoc i On odpowiedział, ale to, w jaki sposób to zrobił było dla całej rodziny ogromnym zaskoczeniem.

Nie dałabym rady bez Boga

Nadia pochodzi z Rwandy i była wychowana w rozbitej muzulmańskiej rodzinie, gdzie samotny ojciec wychowywał ją i trzech braci z pomocą jedynie służących. Nadia poznała Boga i ma męża chrześcijanina, ale nie posiadała żadnych wzorców co do tego, jak wychować swoją piątkę dzieci. Nie zaznała nigdy miłości matki, nawet jej nie poznała, nie nauczyła się ani gotować ani dbać o dom. Dzieli się z nami świadectwem tego, jak w codziennych swoich zmaganiach nauczyła się polegać totalnie na Bogu i kiedy słyszy komentarze: „Masz takie grzeczne i wychowane dzieci” to mówi: „To dzięki Bogu”.

Podtrzymywanie standardów

Chrześcijańscy rodzice mają obowiązek dbać o utrzymywanie standardów moralnych i nauczanie swoich dzieci tego, co właściwe w oczach Bożych. Bez tego, każde kolejne pokolenie jest zagrożone i może szybko zejść z właściwej drogi. Colin stara się odpowiedzieć na pytanie: „Co, jako chrześcijański, kochający rodzice możemy zrobić, aby pomóc naszym dzieciom w utrzymywaniu właściwych granic?” Podaje nam kilka bardzo przydatnych wskazówek, które warte są przemyślenia i wprowadzenia w życie.



Samarytanka poleca:

Michał Hydzik Księga mojego życia

Opis życia, które dzięki Bożej łasce zmienione zostało z odrady do Biblii do ukochania jej.

Książkę można nabyć w naszej Redakcji wpłacając na konto CHMK kwotę podaną na przelewie

Samarytanka

Skrytka pocztowa 17, 43-430 Skoczów
tel. 33 853 24 17
e-mail: tatiana.hydzik@gmail.com

Jeżeli jesteś zainteresowana poruszaną w naszym czasopiśmie tematyką, jeżeli masz problem i potrzebujesz modlitwy lub porady duszpasterskiej, napisz do nas na adres:

Chrześcijańskie Czasopismo dla Kobiet
Samarytanka - kobieta, która powiedziała innym, kim stał się dla niej Jezus

Wydawca: Wydawnictwo Chrześcijańskie ARKA, ul. Błogocka 28, 43-440 Cieszyń Redakcja i druk: Tatiana Ilczuk-Hydzik
Tłumaczenie tekstów: Małgorzata Mocha Korekta stylistyczna i skład: Jolanta Chwałczek Druk: Wydawnictwo ARKA.
Nakład: 2400 egz. Zdjęcia i grafika: www.sxc.hu, www.fotolia.com. Wszelki przedruk tekstów za zgodą redakcji.

Na krawędzi czasu

Na krawędzi czasu
Zawisł smętnej duszy krzyk,
Wąskimi bruzdami
Pooranej zmarszczkami twarzy
Cicho spływają łzy.

Tak wolniutko ciekną,
A drogę mają taką daleką.
Przecież do samego nieba zdążają
Do Jezusa stóp.
Czy jeszcze rozdmucha
Ostatnią iskrę życia?
Czy może otworzy
Ciemny, głęboki grób?

Wiem, Panie,
Że cudowne jest Twoje mieszkanie,
Ale droga do niego taka trudna i taka daleka,
A czas tak szybko ucieka.
Czy zdołam pokonać ją?
Sama chyba nie!
A więc proszę Cię, mój Panie,
Podaj mi swe dłonie,
Abym mogła na nich mocno oprzeć się.

Alfreda Furgała